POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień ***Dnia 24–31-go grudnia 1943r.*** **Rok V. Nr. 51–52**

WIARA I WOLA

REDAKCJA "POLSKI WALCZĄCEJ," JAK OPŁATKIEM, DZIELI SIĘ Z CZYTELNIKAMI SWOIMI, WSPÓŁPRACOWNIKAMI I PRZYJACIÓŁMI JEDNYM NAJGORĘTSZYM ŻYCZENIEM — RYCHŁEGO POWROTU, JUŻ W NADCHODZĄCYM ROKU, DO NIEUMNIEJSZONEJ I ODNOWIONEJ POLSKI

Święto Bożego Narodzenia przypomina nam objawienie ludzkości nowej wiary.

Głosili ją ludzie prości, bez bogactw, bez wpływów, bez władzy i mocą swej wiary zmienili świat. Na oczach zdumionego Rzymu, z całą siłą jego imperium, z jego legiami, które jak obręczą żelazną opasały olbrzymie państwo i broniły barbarzyńcom dostępu do niego — prości rybacy wstrząsnęli zastanym światem od wewnątrz i na jego gruzach zbudowali świat nowy.

Dokonała tego potęga wiary, która góry przenosi. Potęga ducha, która wywoływała uśmiech niewysłowionego szczęścia u tych, którzy za wiarę na arenie rzymskich amfiteatrów byli rozszarpywani przez dzikie zwierzęta, albo na słupach smolnych palili się, jak pochodnie. Pochodnie Nerona.

"I minął Nero, jak mija burza i nawałnica, ogień, wojna i zaraza . . ."

Niczego nam tak dzisiaj nie potrzeba, jak wiary, wiary w naszą przyszłość. Trzeba nam jej więcej, niż kiedykolwiek. Podważana ona jest bowiem ze wszystkich stron. Wróg jej zachwiać nie potrafił, ale podważają ją głosy przyjaciół.

Słyszymy te głosy, które mówią, że przyszłość należy do siły i nie możemy się oprzeć zdumieniu, boć przecie świat walczy przeciw tym, którzy w imię siły chcą go ujarzmić i zrobić z pobitych narodów niewolników.

To znowu dochodzą nas głosy, że trzeba w walce z Niemcami popierać silniejszych, a kto silniejszy, dowolna to ocena, od chwilowych potrzeb zawisła.

Inni wreszcie ustalają podział narodów na małe i wielkie, a że trudno, by małe narody rządziły wielkimi, więc muszą wielkie wziąć małe pod swoją opiekę i zapewnić im niepodległość — pod swoimi rządami.

Pamięć świata o naszej przeszłości zaczyna zanikać. Tak to wygląda, jakby z każdym naszym okrętem zatopionym w walce z Niemcami, tonęła wiedza o naszej nieustępliwej walce, jakby z każdym roztrzaskanym polskim samolotem ginęła niepowrotnie z załogą pamięć o tych, co zginęli w "*Battle of Britain.*"

Głucho o naszym Kraju.

Cóż można wiedzieć kto wywołuje opór Kraju. Może jest on wywołany nie przez polski ruch podziemny, może jacyś inni są tymi silniejszymi od tych, co od 1939 roku w Kraju i poza Krajem giną setkami tysięcy, może to inni większe ponoszą ofiary i może im trzeba pomagać i im walczącą Polskę ma się poddać?

Gdy dochodzą do nas takie wątpliwości, chwiać się zaczyna wiara o co walczymy, za co giniemy i cierpimy. Lecz nie możemy, nie wolno nam wiary stracić.

Mamy potężnych sojuszników, z którymi związaliśmy się traktatem przymierza dla obrony naszej niepodległości. W traktacie tym zobowiązaliśmy się wzajemnie walczyć wspólnie i wspólnie zawierać pokój. Sojusznicy nasi wiedzą, że nie mogą pozwolić na to, aby świat stracił wiarę w "świętość traktatów," jak to określił Traktat Wersalski. A prócz świętości traktatów jest jeszcze świętość danego słowa i obowiązki honoru.

To właśnie, że było inaczej, że wiele państw straciło wiarę w traktaty, było powodem, że ulękły się one Niemiec i uległy im. Jednych sojusznicy zostawili własnemu losowi, co więcej, wzięli udział w przypieczętowaniu ich losu. Ci szukają dziś sojuszników gdzieindziej.

Kraje Europy Środkowej pozostawiono na pastwę ekspansji gospodarczej i politycznej Niemiec, bo łatwiej było handlować z jednym kontrahentem, niż z jakimiś nieznanymi krajami, o których zacofaniu i słabości Niemcy swoich kontrahentów skutecznie zapewnili. I dlatego dziś wołanie do tych państw, aby się poddały przed pobiciem Hitlera wydaje się bezskuteczne. Hitler ma je zbyt mocno w swych rękach i prędzej swą groźbę wykona, niż alianci.

Musimy wierzyć i nie wolno nam tej wiary utracić. Wiara jednak bez uczynków jest martwa.

Nie może to być tylko wiara w cuda Opatrzności, która oczywiście tylko Polakami ma się opiekować, ani nie może to być wiara w cud angielski ani amerykański. Wiara musi być środkiem do spotęgowania woli, która ma stworzyć siłę nie do przełamania, cokolwiek by nam dzieje przyniosły.

MAREK ŻUŁAWSKI: Kolędnicy



Dobrze powiedział jeden z naszych historyków, że nie należy biadać nad tym, jakoby nasze nieszczęścia były wynikiem złego sąsiedztwa, jakoby nasza słabość była funkcją sił obu naszych sąsiadów. Brzmi to wprawdzie krótko i stanowczo, ale bezzasadnie, bo kiedy obaj sąsiedzi są silni, to musi dojść między nimi do starcia i rzeczą naszej polityki jest w tym starciu wybrać należytą rolę.

Natomiast trzeba szukać przyczyn naszego upadku również we własnych błędach, bo z chwilą pozbycia się ich przestaje działać główna przyczyna naszych klęsk. To też nie należy się cofać przed ich ujawnieniem, jeśli to ma służyć nie dla dogodzenia osobistym celom, ale dla uniknięcia tych błędów w przyszłości. Bo jeśli my tych błędów nie odszukamy, uczynią to za nas nasi wrogowie. Zawsze zostaną nam prócz błędów i nasze zasługi, zostanie nam zwłaszcza jedna zaleta, której nam nikt nie odbierze i w której nikt nas nie przewyższy — miłość kraju i gotowość do poniesienia dla niej wszelkich ofiar.

To uczucie jest też podstawą naszej wiary w naszą przyszłość, bo nikt 35 milionów Polaków zniszczyć nie może — prócz nas samych.

Wiara w naszą przyszłość jest nam potrzebna nie tylko na chwilę obecną. Jeszcze cięższe chwile przyjdą, gdy będziemy musieli urządzać nasze życie po wojnie. Wtedy wola nas wszystkich musi być skierowana do uporządkowania zniszczonego życia kulturalnego i ekonomicznego tak, abyśmy nie tylko sami byli z siebie zadowoleni, ale abyśmy światu okazali, że się rządzić umiemy i że Polska światu jest potrzebna.

Nie prowadzi do tego droga obaw i zwątpień już teraz, przeciwnie, im silniej przeciwnościom i chwilom nieprzyjaznym oprzeć się potrafimy, tym większą ufność rozbudzimy w sobie do nas samych i u świata do nas.

Musimy pamiętać, że nie osiągniemy tego siłą ani militarną ani ekonomiczną, ale wolą upartą, nieustępliwą, trwałą. Obawa przed przyszłością jest objawem słabości, objawem niewiary we własne siły. To jest wróg nasz, jeden z bardzo groźnych, bo wróg wewnętrzny. To też, gdy słyszymy głosy trwożne, głosy wątpiące, należy im przeciwstawić wiarę niezłomną, należy je zwalczać i wpoić na ich miejsce nadzieję.

Mówmy światu zawsze i wszędzie, że naszej woli nic nie złamie, a wtedy zniechęcimy tych, którzy usiłowaliby ją złamać. Głośmy wiarę w te zasady, dla których wojna ta się zaczęła i które głoszą nasi sojusznicy. Wykazujmy wszelkie od nich odchylenia i bądźmy gotowi na każdą walkę w ich obronie, aby wiedziano, że jak dla tych zasad umierały i umierają miliony, to i nadal dalsze miliony tej walki się nie ulękną i nie zazna świat spokoju, jeśli by jakieś chwilowe rachuby zechciały te zasady porzucić lub zadać im kłam.

W święto Bożego Narodzenia, w święto przyjścia na świat nowej wiary i jej zwycięstwa, wierzmy w nasze zwycięstwo, bo zwycięstwo przyjść musi i przyjdzie, wierzmy, bo bez wiary nie ma woli, a bez woli nie ma zwycięstwa.

STANISŁAW SZURLEJ

Szkic sytuacyjny

SPOJRZENIE WSTECZ

Kiedy patrzymy wstecz na rok 1943 i staramy się ująć w najbardziej treściwy sposób zdobycze i wyniki tego roku, a równocześnie braki i niedobory, wydaje się, że można by przedstawić ten bilans zysków i strat w taki oto sposób:

Jeżeli chodzi o zdobycze i wyniki militarne, to dałoby się je uszeregować tak oto:

1/ armia niemiecka w Rosji została zmuszona do wycofywania się, tracenia gruntu; *przewaga liczebna a bodaj i sprzętowa Rosjan*, ulepszona i udoskonalona w ogniu bojów strategia sowiecka — wszystko to sprawiło, że zarówno plan podboju Rosji, jak złamania politycznego Rosji zawiodły, że Niemcy nie mogły już od zimy r. 1942/43 liczyć na coś innego, tylko na cofanie się i na jakieś pokusy odrębnego pokoju.

"Reichswehra" jest dalej jeszcze olbrzymią maszyną, ilość jej dywizyj jest potężna /do 400 tu/, ale nikt nie wie już dzisiaj, *jaką siłę ma dywizja niemiecka* /dawniej 15,000/. Rzesza może jeszcze dobrać z *t.zw. totalnej moblizacji* na wiosnę 1944-ego do 100 dywizyj, ale są to już krańcowe wysiłki. Armia niemiecka wykrwawiła się straszliwie, *ok.* 50 *procent możliwości ludzkich armii niemieckiej jest dzisiaj poza wojną* /zabici, ciężko ranni, zaginieni, jeńcy/. Na froncie wschodnim zaczęła się klęska Rzeszy, co nie znaczy jeszcze, ażeby tam miano zadać cios decydujący.

2/ Afryka została uwolniona całkowicie, armie brytyjskie i amerykańskie zyskały cenne doświadczenia, zwycięstwo w pustyni "*the Desert Victory*" przejdzie do dziejów wojen, jako jeden z najświetniejszych wysiłków ludzkich; wejście na ląd Europy jest wielkim wydarzeniem i stanowi wstęp do dalszych tego rodzaju zadań. Armia brytyjska wykazuje stałe postępy, armia amerykańska krzepnie.

3/ "Luftwaffe" ma przetrącony kręgosłup, wydaje się, że ta właśnie broń niemiecka najwięcej ucierpiała. *Produkcja niemiecka w zakresie lotnictwa wydaje się stale spadać.* Nie brak doniesień, że wynosi ona już tylko ponad .500 maszyn wszelkiego typu miesięcznie. Nawet gdyby Rzesza produkowała dalej 2.000 maszyn, to i tak nie jest to wystarczające, szczególnie, jeżeli się zważy, że *frontów do obrony przybywa.*

4/ Bombardowanie lotnicze Rzeszy przybrało formy, które jeżeli tak się można wyrazić — "dobrze wróżą na przyszłość." Rozpętanie się prawdziwej ofensywy lotniczej, a więc stale podtrzymywanej, niedającej spoczynku, wyważającej z zawiasów wszelkie formy życia cywilizowanego, jest — jak się zdaje — *dopiero muzyką przyszłości, ale może ta muzyka rozpętać się już na wiosnę 1944-ego r.*

5/ Działanie okrętów podwodnych jest dalej zmartwieniem sojuszników, ale na ogół szlaki morskie są nieporównanie *bezpieczniejsze.* Wydaje się, że zastosowanie lotnictwa w konwojowaniu transportów przyczyniło się zdecydowanie do odjęcia U-Bootom dawnej grozy. Morze Śródziemne jest niemal całkowicie od niej wolne. Inne morza będą powoli uwolnione. W każdym razie koszmar okrętów podwodnych został przepędzony.

Zdobycze po stronie politycznej przedstawiałyby się tak oto:

1/ Umocniono jedność sojuszniczą przez dalsze zbliżenie między Waszyngtonem a Londynem z jednej a Moskwą z drugiej strony. Próby niemieckie wbicia klina między sojuszników zachodnich a Rosję, nie powiodły się. Po naradach moskiewskich zaznaczono, że usunięta została groza odrębnego pokoju — strona anglosaska uważała zawsze, że to jest najgorsza możliwość, i miała słuszność.

2/ stworzono możliwości współpracy wojennej z Turcją, co otwiera możliwości ataku na Bałkany,

3/ uzyskano bazy na Azorach, co zabezpiecza lepiej szlak atlantycki,

4/ pierwsze próby międzynarodowej współpracy, jak UNRRA, okazały się pożyteczne,

5/ pomimo tarć w pierwszym stadium zarząd we Włoszech zaczyna działać, stosunki między sojusznikami w Afryce Francuskiej układają się, kryzys libański zażegnano.

W sumie należało by stwierdzić, że w miarę jak rośnie siła sojusznicza, rośnie także prestiż zachodnich sojuszników na kontynencie i w świecie. Oczekuje on dlatego coraz bardziej i coraz niecierpliwiej decyzji na temat losów Europy.

I tu właśnie należało by podkreślić pewne niedobory:

1/ *Przeciąganie się wojny sprawia, że wyniszczenie Europy rośnie, że siły jej słabną.* Słusznie zaznacza się — jak n.p. w "*Observerze*" z dnia 12-ego grudnia — że Blitzkrieg był o wiele mniej niszczący, aniżeli obecna faza wojny wyniszczenia, która przechodzi przez Ukrainę czy Włochy. Jeżeli taki "walec parowy," jak powiada "*Observer,*" przejdzie jeszcze przez inne kraje, to wtedy krajami, które wyjdą obronną ręką stać się może Czechosłowacja, czy Węgry lub Austria, albowiem one unikną zniszczenia. One też mogą na skutek tego, powiada "*Observer,*" uzyskać niesłychanie na znaczeniu, albowiem inne kraje będą straszliwie zniszczone.

2/ Nie zdołano trafić jeszcze do krajów lennych — jak Rumunia, Węgry, Bułgaria, Finlandia częściowo — ażeby próbowały się oderwać od maszyny wojennej Rzeszy.

3/ *Nie zdołano stworzyć dla Europy odpowiedniego zapewnienia, że będzie ona mogła rozwijać się swobodnie, że niepodległość wszystkich państw jest czymś pewnym, że wejdzie ona w okres pokoju, a nie wahania i ustawicznego alarmu wojennego.*

4/ Nie zdołano stworzyć jeszcze ram, w których obok wielkich mocarstw, którym nikt nie odmawia prawa decyzji, było by miejsce dla Europy, która została pominięta. Politycznie bowiem przedstawia się to tak, że *o przyszłości Europy decydować mają trzy wielkie mocarstwa, z których jedno* /Anglia/ *jest rodzajem lotniskowca zakotwiczonego u brzegów Europy, drugie* /Rosja/ *nie należy całkowicie do Europy, a trzecie* /USA/ *jest związane z Europą związkami krwi, tradycji, pochodzenia, sentymentu. Przez taki układ tworzy się w Europie pustka, vacuum, które nie może być utrzymane.*

SPOJRZENIE W PRZYSZŁOŚĆ

Wydaje się, że na Nowy Rok 1944-ty wszystkie narody Europy — po jednej i drugiej stronie barykady — powiedzą sobie po raz pierwszy zgodnie: *to powinien być ostatni rok wojny.*

Tak by istotnie się zdawało z obliczeń narastania siły Zjednoczonych Narodów i stałego topnienia siły wroga. Wojna w Azji jest oczywiście tematem całkowicie oddzielnym, temat to tak obszerny, że wykracza bodaj za miarę roku czy dwu czy nawet trzech. Wojna na Dalekim Wschodzie może tlić się latami, dopóki nie powstanie taka siła, któraby istotnie rozbiła w proch same wyspy japońskie.

Ale dla Europy r. 1944-ty zapowiada się jako rok finishu. Wydaje się, że *otwarcie frontu na Zachodzie jest stanowczo jednym z punktów programu.* Atak od strony Bałkanów *jest stanowczo jednym z punktów* albowiem wszystko zdaje się wskazywać na to, że *strategia sojusznicza doszła do wniosku, że trzeba uderzyć na największej ilości frontów, ze wszystkich zaiste stron, że trzeba doprowadzić do niebywałego rozproszenia sił wroga.*

Zapowiada się również od wiosny *r. 1944-ego łomotanie lotnicze, przyczem floty powietrzne USA mogą odegrać o wiele większą rolę.* Wszystko dowodzi, że siły lotnicze USA objawią się dopiero w swojej istotnej mocy na wiosnę 1944-ego, że *potworne wręcz armady powietrzne gromadzą się na wyspach brytyjskich, ale że atak tych armad może dopiero wypaść w chwili, gdy padnie rozkaz atakowania kontynentu.*

Strona niemiecka nie jest bezsilna. Może ona odpowiadać jeszcze na trzech kierunkach:

1/ próbą cofania się i manewru na wschodzie wzorowanego na Bitwie Warszawskiej, a więc na wciągnięciu armii przeciwnika w głąb kraju nieznanego jego wojskom,

2/ uderzeniem "prewencyjnym" na Bałkanach, a więc w kierunku na Turcję,

3/ próbą jakiejś "*tajemniczej broni,*" w postaci rakietowych pocisków czy bomb.

Zasadniczo jednak Rzesza jest osaczona, ma ona dzisiaj niewielkie pole manewru. Chciałaby ona pokoju. Nie wie jednak, jak to uzyskać. Obiecuje sobie dalej, że przez przeciąganie działań wojennych dojdzie się do stanu zmęczenia i znudzenia, kiedy możliwe będzie uzyskać obietnicę bezwarunkowego poddania lepszą, aniżeli dzisiaj. Liczy też na to, że przez groźby takie jak n.p. wysadzenia w powietrze Rzymu czy Paryża uzyska się zastraszenie przeciwnika.

Rzesza stoi w obliczu bardzo ciężkiej zimy i wiosny, a wiele wskazuje na to, że nie wymiga się ona od rewolucji. Nie zapominajmy, że armia osobista Himmlera i Hitlera, owe czarne sotnie S.S. liczą jednak ponad 500.000 najlepszego żołnierza, że armia ta ma czołgi i samoloty, że nie zejdzie ona z pola bez walki.

R. 1944-ty należeć winien do przełomowych zarówno dla wojny jak pokoju. Tym większe obowiązki spadają na tych, którzy prowadzą działania wojenne i polityczne.

Dla Polski, stratowanej piątym rokiem wojny, wyczerpanej upływem krwi, zagrożonej nowym pochodem wojny "elastycznej," rok 1944-ty będzie rokiem w którym zmieszają się wielkie nadzieje, tak długo i bezlitośnie wystawiane na próbę z wielkimi cierpieniami. Przyszłość nasza zdecyduje się, w przeciwieństwie do przyszłości szczęśliwszych narodów Europy, na ostatniej niejako fali. Dlatego właśnie trzeba wszelkiej koncentracji sił polskich, ażeby wytrzymać uderzenia wielu fal, ażeby umieć wyjść ponad nie, ażeby rozumieć wymowę chwili, czasu, ażeby nie tracić z oczu szerszych perspektyw, chociaż woda zalewać nam będzie usta i oczy.

Ta wojna nakłada na gromady ludzkie ciężary większe, niż jakakolwiek inna wojna, albowiem nie jest wojną frontów, ale społeczeństw, ponieważ zniszczenie nie ogranicza się do linii bojowych. Dlatego właśnie *spoistość, rozwaga i siła gromady polskiej jest czymś tak podstawowo ważnym.*

Londyn, dnia 13.XII.1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

11 *grudnia* 1943: *Lotnictwo amerykańskie bombardowało za dnia Emden z baz w Wielkiej Brytanii. W czasie tego działania zestrzelono 138 samolotów nieprzyjacielskich. Straty Amerykanów wynosiły 20 samolotów.*

—Ogłoszono, że na Północnym Atlantyku w czasie dwudniowej bitwy lotnictwo i marynarka brytyjska zatopiły 5 niemieckich okrętów podwodnych oraz uszkodziły 3.

12 *grudnia: Na Kremlu podpisany został układ przyjaźni, o wzajemnej pomocy i współpracy powojennej między Z.S.R.R. a Czechosłowacją.*

13 *grudnia: Podano, że Naczelny Wódz gen. broni K. Sosnkowski udekorował złotymi, srebrnymi i bronzowymi "Krzyżami Zasługi" polskich lotników transportowych na Bliskim Wschodzie. Dekoracja odbyła się w junackim gimnazjum mechaniczno-lotniczym w Egipcie.*

14 *grudnia: Ogłoszono rozkaz Naczelnego Wodza, wydany przed opuszczeniem Armii Polskiej na Wschodzie. W rozkazie tym skierowanym do żołnierzy A.P.W. czytamy: ". . . dobrze mi było wśród was. Wysoki i jednolity ton duchowy, żarliwy patriotyzm, wzruszająca często ofiarność i bezinteresowność —czynią z was gromadę żołnierską o wysokiej próbie moralnej. Jesteście wojskiem, które z modlitwą na ustach i z wiarą w Boga służy Polsce i tylko Polsce. Jesteście wojskiem Rzeczypospolitej i niczym więcej. . ."*

". . . . Wzywam was do dalszych wysiłków. Hasło i rozkaz dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie brzmi: Zawsze naprzód . . ."

—Podano do wiadomości, że prasa okupacyjna w Polsce przynosi w ostatnich dniach nowe fakty świadczące o niepokojach w Kraju i działalności polskiej organizacji podziemnej.

—W Moskwie podano do wiadomości, że Czerwona Armia zdobyła Czerkasy. Równocześnie podano, że na płn. - zach. od Kijowa odparto ataki niemieckie, lecz ewakuowano Radomyśl.

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało lotniska i bazy morskie koło Aten. Był to najsilniejszy z dotychczasowych nalotów na Bałkany.

—Wojska VI-tej Armii Amerykańskiej wylądowały w Nowej Brytanii (Pacyfik) okupowanej przez Japończykow.

—Podano, że premier Churchill przebywający na Bliskim Wschodzie zapadł na zapalenie płuc.

15 *grudnia: Odbyło się w Londynie pierwsze posiedzenie Komisji Doradczej dla Spraw Europy.*

—Samoloty polskiego myśliwskiego dywizjonu rozpoznawczego przeprowadziły patrolowanie Zatoki Biskajskiej.

16 *grudnia: Naczelny Dowódca Home Forces Sir Bernard Paget dokonał dekoracji oficerów polskich odznaczeniami brytyjskimi. Udekorowano: 1—D.S.O., 3—C.B., 6—C.B.E., 4—O.B.E., 1—M.B.E.*

17 *grudnia: W nocy z 16/17 lotnictwo brytyjskie ciężko bombardowało Berlin.*

Nowości lotnicze

Zbliża się rok 1944, piąty rok wojny, którą nieopatrzni Francuzi nazwali w 1939 r. "*drôle de guerre.*" Nazwa była przedwczesna i fałszywa. Żadna z wojen ludzkości nie rozwijała się bardziej serio i bardziej logicznie, niż ta właśnie którą przeżywamy. W tej chwili zbliża się ku końcowi.

Wojnę tę rozpoczęło i skończy lotnictwo. Olbrzymi rozrost tej broni i możliwości produkcyjne właśnie na tym odcinku — przesądzają z góry szybkie zwycięstwo obozowi Aliantów. Cyfry dotychczas bardzo starannie przez Amerykanów i Anglików strzeżone, które odkrył w swej mowie Stalin, są rewelacją nawet dla optymistów. Osiągnięte w tym roku wyniki produkcji, wyrażające się imponującą sumą: 16,500 samolotów miesięcznie są dostateczną wskazówką, ku czemu wszystko zmierza. Po stronie niemieckiej odpowiednikiem tej cyfry jest cyfra 3,500 produkcji miesięcznej, po stronie japońskiej — 3,000.

Pamiętać jednak należy, że o ile można mówić o wspólnym lotnictwie Sprzymierzonych i suma 16,500 jest rzeczywiście wyrazem ich siły, zaś podział jej na trzy części; 10,000 amerykańskich, 3,500 brytyjskich, oraz 3000 rosyjskich jest /z małym wyjątkiem produkcji indyjskiej i australijskiej/ detalem raczej orientacyjnym to cyfr niemieckiej i japońskiej produkcji nie można łączyć w jedną sumę. To są dwie sumy odrębne i nigdy ze sobą złączone nie będą. "Luftwaffe" z cesarskim lotnictwem japońskim taktycznie obok siebie działać nie mogą. Produkcja japońska odciąga tylko pewną, stosunkowo niedużą część produkcji amerykańskiej od europejskiego teatru wojny, oraz prawie całość niewielkiej zresztą produkcji indyjskiej i australijskiej. Niemiecka natomiast jest wyrazem daleko idącego upadku "Luftwaffe" i oznacza krańcowe jej możliwości wobec gigantycznego wzrostu produkcji przeciwnika.

Niemcy w ciągu całego roku 1943 dokonywali niebylejakich wysiłków, by utrzymać, a nawet by podwyższyć swą produkcje lotniczą, a także utrzymać i podwyższyć siłę swej pierwszej linii. Jednak jest niezaprzeczalnym faktem, że gdyby nawet udała im się taka możliwość niemożliwości i zdołali podwyższyć swą produkcję aż do 7,000 samolotów miesięcznie, (odpowiadoło by to mniej więcej 6,000 pierwszej linii) to jeszcze nie zdołaliby wystarczająco pokryć potrzeb każdego z licznych frontów swych czterech teatrów wojennych.

W tej chwili "Luftwaffe" prawdopodobnie nie przekracza cyfry 5,000 maszyn pierwszej linii wliczając w to i maszyny transportowe. Miesiące wrzesień, październik i listopad, były dla niej raczej miesiącami upadku, zarówno w zakresie produkcji jak i liczebności pierwszej linii a nie wzrostu. Bezpośrednim powodem tego zjawiska były kolejne i bardzo precyzyjne niszczenia przez bombowe lotnictwo Sprzymierzonych szeregu ośrodków produkcji, choćby takich centralnych fabryk montażowych jak n.p. Wiener Neustadt czy Marienburg. Już to samo musiało obniżyć produkcję o przeszło 400-600 maszyn myśliwskich miesięcznie, co może od razu nie dało się odczuć w O. de B. pierwszej linii, lecz napewno da się odczuć po upływie paru miesięcy bez akcji, zaś paru tygodni — w razie intensywnej akcji. Niemcy zaś są w tej przykrej sytuacji że napięcie akcji intensywnej trwa u nich bez przerwy, gdyż na rozmaitych frontach kolejno wybuchają ogniska ofensyw na większą czy mniejszą skalę.

W chwili obecnej dyspozytyw sił niemieckich jest następujący: (a) b o m b o w c e: połowa na frontach europejskich, połowa w Rosji; (b) m y ś l i w c e; jedna czwarta w Rosji, trzy czwarte na frontach europejskich; (c) l o t n i c t w o t r a n s p o r t o w e: całość w tej chwili na południu gotowa do działań na Bałkanach.

W jaki sposób w ciągu 1942 r. Niemcy przeorganizowali swe lotnictwo? Najlepiej to zrozumiemy, gdy przypatrzymy się obecnej sytuacji "Luftwaffe" na tle 1941 roku. Otóż stosunek liczebny bombowców 1941 do bombowców 1943 jest jak I: 1/3. Odwrotnie się rzecz ma z myśliwcami. stosunek ten wyraża się cyfrą 1/3: 1. Innymi słowy: o ile liczebność bombowców spadła o 2/3, o tyle liczebność myśliwców wzrosła trzykrotnie w porównaniu z rokiem 1941.

Reorganizacja niemieckiego lotnictwa w ciągu 1943 r. poszła więc w kierunku stworzenia wielkiej siły odpornej, defensywnej, kosztem lotnictwa ofensywnego jakim jest lotnictwo bombowe. Charakterystycznym faktem jest także to, że Niemcy zmniejszyli do minimum eskadry bombowców nurkujących, zamieniając je na myśliwców pola bitwy.

Rok 1943 przyniósł ze sobą zresztą zmierzch lotnictwa nurkującego, głównej broni ofensywnej "Luftwaffe," inaugurując równocześnie we wszystkich lotnictwach świata rozbudowę lotnictwa pola walki i to różnorakiego typu. Rozwój uzbrojenia poszedł w przewidywanym przez nas kierunku: działa jak największego kalibru na samolocie walczącym z ziemią ze szczególnym przeznaczeniem tego działa do walki z czołgiem. Uzbrojenie typów przeznaczonych do walki w powietrzu cechuje znowu zwielokrotnienie maszynowej broni wielkokalibrowej.

Z zupełnych nowości rok 1943 przyniósł lotnictwu pierwsze pociski rakietowe w miejsce działek na samolocie. Pierwsi zastosowali je Niemcy. Na rok 1944 przewidywać należy stopniowe powiększanie kalibru działa samolotowego do walki z ziemią, zaś coraz szersze zastosowanie pocisku rakietowego do walki w powietrzu.

Resumując wyniki lotnictwa Sprzymierzonych w ostatnich stu dniach 1943 roku, od razu obserwujemy kolosalny wzrost w ilości wypraw i ilości samolotów biorących udział w wyprawach. Przełamano trudności, które powodowały, jak to było na początku tamtego roku, że wielkie wyprawy mogły być tylko wyjątkiem, nie regułą.

Ilość bomb wyrzucanych na jeden cel wzrosła ogromnie. Weźmy sobie tym razem dla ułatwienia jako obliczenie ilość ton bomb, wyrzucanych w ciągu jednego raidu, na określony cel w ciągu jednej minuty. Bierzemy pod uwagę jedynie większe wyprawy:

marzec 1943 Essen 25 ton /min.
kwiecień Duisburg 30 ton /min.
czerwiec Dortmund 33 ton /min.
lipiec Hamburg 46 ton /min.
sierpień Hamburg 51 ton /min.
wrzesień Berlin 50 ton /min.

N. b. W tych cyfrach upatrywać należy ulepszenia techniczne w organizowaniu wypraw, nie zaś zwiększenie liczby samolotów idących na cel. Można upatrywać także dowód zwiększenia ilości ciężkich maszyn, o większej nośności, użytych w jednym zespole wyprawy.

Ogólna ilość bomb, rzuconych na Niemcy w ciągu ostatnich trzech miesięcy (bez grudnia) wynosi nieprawdopodobną cyfrę 74,000 ton, czyli 7,400 wagonów 10 tonowych materiału wybuchowego i żelaza, lub jak kto woli 1,480 pociągów! Z tych 74,000 wyrzucono w ciągu dnia 18,000 ton, zaś w ciągu nocy 56,000 ton.

Rok 1943 nie przyniósł zmian w dotychczasowych doktrynach bombardowania. Nie przyniósł zdecydowanego zwycięstwa jednej z tez: czy należy bombardować w nocy, czy w dzień co było przecież powodem wielu sporów w prasach fachowych. Okazało się bowiem, że należy bombardować 24 godziny. . . Dlatego w tej chwili Amerykanie przeszkalają część swego lotnictwa na nocne, zaś Brytyjczycy — na dzienne.

W tym samym czasie gdy 74 miliony kilo spadło na Rzeszę Niemcy zrzucili na Wielką Brytanię tylko 480 ton bomb. Gdy sięgniemy w czasy *blitzu*, rok 1940 zamknął się sumą 12,000 niemieckich samolotów bombowych, które przekroczyły brytyjskie wybrzeże. Rok 1943 — jedną trzecią tej sumy.

I tutaj jeszcze jedna wymowna cyfra: straty niemieckie w całości 1940 roku (poza *Battle of Britain* t. zn. tylko w czasie nalotów nocnych) wyniosły 1 procent straconych, dziś w ostatnim miesiącu 1943, za cały rok straty te przekroczyły 10 procent użytej siły. Tutaj widzimy przede wszystkim ogromny wzrost i ulepszenie obrony przeciwlotniczej. Nie możemy niestety rozbić procentów na cyfry, jak również rozdzielić ostatecznej cyfry na dwa działy: strącenia przez myśliwce nocne i przez artylerię plt. Możemy tylko zapewnić, że myśliwcy nocni gwarantują lepsze rezultaty obrony.

Na zakończenie podamy jeszcze tabelę alianckiej produkcji bombowców; są to rzecz jasna, cyfry przypuszczalne.

Produkcja bombowców alianckich miesięcznie	1739
Produkcja brytyjska	390
Straty brytyjskie w miesiącach 1943 ok.	290
Produkcja rosyjska bombowców (mies)	340
Straty rosyjskie w miesiącach 1943	250
Produkcja amerykańska (mies)	1000
Straty amerykańskie w miesiącach 1943	400
Nadprodukcja aliancka (mies)	790

Żałujemy niezmiernie, że na zakończenie 1943 roku nie jesteśmy w stanie odkryć naszym czytelnikom tajemnicy rozrostu lotnictwa polskiego. Rozrost ten nie jest liczebny, ilość dywizjonów wzrosła bardzo mało. Natomiast posunęły się ogromnie prace złączone z przygotowaniem powrotu do Kraju, oraz te obliczone na czas pokojowy.

Lotnictwo nasze na froncie nie próżnowało. Myśliwcy z początkiem roku. przekroczyli cyfrę 500 strąconych obecnie przekroczyli 600. Waga bomb wyrzuconych osiągnęła 15,000,000 lbs. Ilość min 2,000. Lotnictwo nasze działało na wszystkich frontach prócz rosyjskiego, gdyż nawet na Daleki Wschód dotarli polscy *ferry-pilots.*

Jeżeli 1944 będzie rokiem zakończenia działań wojennych, będzie też rokiem największej chwały lotnictwa polskiego, gdyż nikt inny, lecz ono właśnie będzie pierwsze w Kraju. Niestety bez tego, który je odtworzył we Francji, uratował po jej upadku i przeprowadził do Wielkiej Brytanii. Tu rozbudował do obecnej siły. Leży na małym cmentarzyku w Newark, pod krzyżykiem drewnianym z szachownicą . . . Jakże wokoło tego krzyża cicho . . .

M. J. GORDON

Pasterka w Betlejem

Na zaproszenie J.E. ks. patriarchy jerozolimskiego, Barlassiny, przyleciałem, rok temu, z Bagdadu do Ziemi św. Po zwiedzeniu szpitali polskich w dzień wigilii, złożyłem mu swoją wizytę w pysznej sali recepcyjnej patriarchatu.

Kilka minut później, wśród bicia dzwonów, ruszyliśmy w drogę. Patriarcha, ubrany w *"cappa magna"* — najwspanialszy strój Kościoła — błogosławi tłumy. Przed nami jedzie konna policja palestyńska z biało-niebieskimi proporczykami. Nad pierwszym autem widać błyszczący w słońcu krzyż patriarchalny, a z naszego samochodu kawas po staro-turecku pokazuje swą długą buławę, wychylając ramię przez okno.

Jedziemy zupełnie powoli ku Betlejem. Tą samą drogą szli Najśw. Panna Maria i św. Józef, by w swoim mieście znaleźć podczas spisu ludności przytułek.

Za Jerozolimą widać jeszcze groźne sylwetki gór moabskich, lecz wkrótce okolica staje się coraz słodsza. Przed klasztorem Eliasza przyglądają się naszemu pochodowi greccy mnisi, dalej za pagórkami, skrytymi w gajach oliwnych, witają nas parafianie Tanturu.

Po lewej widać teraz stożkowatą górę "Herodianum." Tam kazał się pochować Herod Wielki, który zmarł wkrótce po rzezi niewiniątek betlejemskich. A równocześnie wychyla się Betlejem samo. U grobu Racheli, żony patriarchy Jakuba, wita nas ludność chrześcijańskiej wioski Bejt Dżala.

Coraz piękniej przedstawia się Betlejem. — "Oczy całego świata zwrócone są dziś ku temu miasteczku" — przerywa ciszę ks. patriarcha — "w którym wkrótce biskup polski odprawiać będzie pasterkę." Serdecznie mu dziękuję za łaskawość, że mi raczył odstąpić najpiękniejszy swój przywilej arcypasterski.

Jakaś pogoda, prawie wesołość, panuje nad całym Betlejem. Dzwony biją, ulice są przepełnione ludźmi. Nawet z dachów witają tłumy swego arcypasterza. W jego pięknym, patriarchalnym obliczu, maluje się wzruszenie, gdy klękającym na ulicach Betlejemitom udziela błogosławieństwa.

Stanęliśmy na placu przed bazyliką Narodzenia Pana Jezusa. Przed nami rój purpurowych ministrantów, chór OO. Franciszkanów w złotych ornatach, kanonicy fioletowi, księża świeccy, kapelani amerykańscy, angielscy i polscy. Cały plac gęsto zaludnił się tłumem, w którym wyróżniają się niewiasty z czepcami w formie mitry. Mocnymi głosami zaintonowali Franciszkanie *"Te Deum."* Oni to są stróżami Ziemi Świętej. Sam św. Franciszek wyznaczył im Palestynę na pole pracy apostolskiej. Misję swą wykonywali wiernie, często aż do śmierci. Ileż to krwi franciszkańskiej przelało się tutaj w obronie praw Chrystusowych i Kościoła św.?!

Coś mnie chwyciło za gardło i łzy stanęły mi w oczach, gdy spoglądałem na mury czcigodnej bazyliki. Tutaj w mieście Dawida narodził się Syn Boży. "A ty, Betlejem, ziemio judzka — żadną miarą nie jesteś najmniejszą między książęty judzkimi, albowiem z ciebie wynijdzie wódz, który rządzić będzie ludem moim izraelskim." Tu znalazła w stajence przytułek Najczystsza Dziewica, "przeto iż miejsca nie mieli w gospodzie."

Cesarz Hadrian, chcąc zatrzeć pamięć chrześcijańską, na miejscu stajenki założył świątynię Adonisa, ulubieńca Wenery, lecz wkrótce znów czczono na tym miejscu Boga Prawdziwego. Święta Helena wybudowała nad stajenką wspaniały kościół, a syn jej, Konstantyn, ozdobił go po cesarsku. Gdy podczas powstania samarytańskiego kościół ucierpiał, odnowił go Justynian /531 r./, jedyny cesarz wschodnio-rzymski pochodzenia słowiańskiego. Chosroes zdobył Betlejem, ale nie naruszył bazyliki tylko dlatego, że jeden z Trzech Króli, na olbrzymiej mozaice zewnętrznej nosił strój staro-perski. Kalif Omar w 637 r. modlił się w grocie Narodzenia. Krzyżowcy ozdobili to miejsce święte niezwykle pięknymi mozaikami o głębokiej symbolice. Sułtan al Kamil oddał ten kościół katolikom ze względu na św. Franciszka, którego głęboko czcił. Nawet "pantera" Babirs potwierdził przywileje Franciszkanów.

Przez niską bramę wkraczamy do bazyliki głęboko schyleni. Za wejściem stoją mnisi prawosławni, którzy od XVII-go wieku przywłaszczyli sobie miejsce Narodzenia. Poparci przez sułtana tureckiego, szturmem zdobyli to miejsce pokoju. Tysiączny tłum wtargnął wówczas przemocą do kościoła rabując i niszcząc.

Przez pięcio-nawową bazylikę idziemy procesjonalnie do przyległego kościoła rzymsko-katolickiego. Organy grają, tłum klęka, chór ministrantów śpiewa czarująco. Są to mali Arabowie, których głosy dźwięczą jak morze, jak wino, jak słońce. Obok nich idą skauci arabscy z turbanami na głowie.

Teraz patriarcha odbiera na tronie *homagium* od kleru. Potem na tron wstępuje biedny biskup-Polak. Dwóch ministrantów z uśmieszkiem wskazuje na moje żołnierskie obuwie. Może jeszcze rąbek munduru wyłania się spod fioletowej sutanny? A gdybyście wiedziały aniołki, że mitra złota, którą mam na głowie, należy do nuncjusza Mezopotamii, a mitra pretiosa, którą mi zaraz wkładać będą, jest własnością patriarchatu?! Czy ja w ogóle mam jakąś własność? Jestem gościem Dzieciątka Betlejemskiego i Jego biskupem wędrownym.

Zaczynają się uroczyste nieszpory. *"Rex Pacificus"* intonuje biskup-żołnierz. I z całą mocą śpiewają chóry: *"Dixit Dominus Domino meo."* "Rzekł Pan do Pana mego łaskawym swym głosem" — brzmi to w naszych kościołach polskich. I tak kroczy uroczyście psalm jeden za drugim aż do ostatniej wspaniałej antyfony: "Podnieście głowy wasze, oto zbliża się wasze zbawienie."

Podczas *"Magnificat"* asystuje mi trzech kanoników, jeden Francuz, drugi Włoch, trzeci Arab. Wśród kleru są Amerykanie, Anglicy, Czesi, Belgowie, Egipcjanie i nasi. Tu jest prawdziwa jedność narodów, rzeczywista Liga Chrześcijańska.

— — — — — — — — —

Po nieszporach wróciłem do Jerozolimy, by się opłatkiem łamać z rodakami w hotelu Patriarchy "Petra," w Domu Żołnierza /b. konsulat włoski/, i w "Domu Polskim." Rzewna była ta wieczerza wigilijna, gdyż myśli nasze leciały do Kraju.

O 9-tej wieczorem ponownie wyruszyłem do Betlejem na jutrzenkę i pasterkę. Nie było chmurki, a księżyc rozlewał srebrne światło na gaje oliwne. Istna wędrówka ludów ruszyła ku miastu Dawidowemu. Samochód sunął za samochodem. Właśnie minęliśmy grób Racheli, gdy z przeciwka wyłania się jakiś pojazd — widzę jego światła trzy metry przed sobą — i już z całym impetem uderzył w nasz wóz. Trzask szkła, krzyki, policja. Z trudem wysiadam ze zmiażdżonego auta. Prócz silnego poturbowania nic się nikomu nie stało. Dzięki Panu Bogu! Tylko samochody przedstawiają bezładną kupę pokręconego żelaziwa.

Stanąłem więc na ulicy i zatrzymuję inne wozy, śpieszące na pasterkę. Dopiero ciężarówka z lotnikami amerykańskimi zatrzymała się — *"That is the Polish Bishop"* — konstatują chłopcy. Poznali mnie po płaszczu generalskim, narzuconym na fioletowy strój liturgiczny. Z nimi dojechałem szczęśliwie przed bazylikę, gdzie już u bramy stała wielka asysta.

Z ciężarówki na tron — w przeciągu pięciu minut. Tym razem przygotowali dla mnie białe, atłasowe buciki z bogatym haftem złotym. Kościół jest rzęsiście oświetlony. Zewsząd świecą reflektory na prezbiterium. Na ołtarzu leży śliczne Dzieciątko Jezus.

"Christus natus est nobis. Venite adoremus" — śpiewa chór, A z jakim triumfem biją głosy ku niebiosom. To przecież tu było, tu przed 1942 laty . . .

Śpiewają psalm o buntujących się przeciwko Panu narodach. "Ten, co w niebiesiech mieszka, wyśmieje je." Jest to uśmiech delikatny, ten uśmiech Boży, gdyż przeciwko okrucieństwu i megalomanii cezarów wysłał owe kwilące w stajence betlejemskiej Dzieciątko bezbronne.

Teraz diakon śpiewa lekcję Izajasza proroka. Słuchajcie jak aktualną: "Lud, który chodzi w ciemności, ujrzy światłość wielką, a tym, którzy mieszkają w ziemi cienia śmierci, światłość świecić będzie. Albowiem Dziecię narodziło się nam, a Syn dany jest nam, i będzie panowanie na ramieniu Jego, a nazwą Imię Jego: Dziwny, Radny Bóg Mocny, Ojciec wieczności, Książę Pokoju."

"Objawi się chwała Pańska, a ujrzy wszelkie ciało społem, iż usta Pańskie mówiły . . . A Słowo Boże trwa na wieki." *"Verbum Domini manet in aeternum."* Gdzież to samo jeszcze czytałem? Prawda, prawda, gdy po owym okrutnym "gwiazdkowym" nalocie na City w Londynie, przechodząc przez ruiny i sterczące ku niebu zgliszcza, spotkałem na "Ave Maria Lane" jeden niezniszczony, na filarach spoczywający architraw, a na nim właśnie napis: *"Verbum Domini manet in aeternum."* Przeminie wróg ludzkości jak burza, jak powódź, jak śnieg, jak wichura, jak wojna — a Słowo Twoje, Panie trwać będzie na wieki.

A jak gorzkie jest stwierdzenie proroka o ludzie swoim: *"Assur absque ulla causa calumniatus est eum."* Asyryjczyk bez najmniejszej przyczyny trapi mój lud.

Tak jest, to Asyria napadła na nas, gdyż nawet babilońskie sposoby były jeszcze nieco humanitarniejsze. Asur — żywo staje przed oczyma moimi owa płaskorzeźba asyryjska, opisująca wygnanie podbitej ludności. Pochód wygnańców jak w Polsce, każdy niesie swój węzełek ze sobą, gdyż więcej, niż 20 kilo ani wówczas, ani teraz najeźdźca nie pozwolił zabierać, a tych, co ognisk domowych opuszczać nie chcą, przygważdżają gestapowcy Asura dzidami do ziemi.

—*"Consolamini, consolamini, popule meus, dicit Deus vester."* "Nabierz otuchy, ludu mój, tak mówi Bóg wasz."

Coraz radośniej brzmią psalmy świąteczne. Mówią nam, że Pan objawi zbawienie swoje, że wspomniał o miłosierdziu swoim i że wszystkie granice ziemi będą oglądać sprawiedliwość Jego. "Niechże więc Panu śpiewa wszystka ziemia, niech morze zaszumi; rzeki niech klaskają rękami, a góry wespół niech się rozradują."

Jakaż, Panie, tęsknota za Tobą mieszka w sercach ludzkości!

"Witaj, Jezu ukochany, od
patriarchów czekany,
Od proroków ogłoszony, od
narodów upragniony."

Słychać bicie dzwonów. Przez tłum przesuwają się dyplomaci w błyszczących mundurach. W pierwszym rzędzie m.i. zajmuje miejsce min. Kot i konsul generalny p. Korsak. Na trybunie w głębi kościoła znajduje się królowa-matka Egiptu z siostrami króla.

Klerycy przysuwają mikrofon radiowy, gdyż cały świat ma być świadkiem misterium betlejemskiego.

— — — — — — — — —

Jest północ. Zaczynam pasterkę.

"Introibo ad altare Dei. Ad Deum qui laetificat iuventutem meam." Teraz w tej chwili jestem połączony z całym światem chrześcijańskim, z całym Kościołem Bożym. Z Kościołem walczącym przeciwko potęgom ciemności; z Kościołem cierpiącym, co w otchłani czyśćca wyczekuje zbawienia —a są wśród nich moi rodzice, przyjaciele i tylu, tylu poległych braci; z Kościołem triumfującym, co w Betlejem niebieskim chwali Zbawiciela.

"Gloria in excelsis Deo" — śpiewam ze wzruszeniem na tym miejscu, na którym ten hymn po raz pierwszy głosami anielskimi rozbrzmiewał. *"Et in terra pax hominibus bonae voluntatis. Gratias agimus Tibi propter magnam gloriam Tuam"* — ciągnie chór ten najpiękniejszy zwrot najpiękniejszej modlitwy świata.

"Okazała się łaska Boga Zbawiciela naszego wszystkim ludziom" — słyszymy słowa św. Pawła, tego co najpierw Chrystusa prześladował, ażeby przed Nim upaść na kolana. Ewangelia zaś w stylu lapidarnym mówi nam o dekrecie cesarza Augusta i o drodze Józefa z Galilei "do żydowskiej ziemi, do miasta Dawidowego, które zowią Betlejem. I porodziła Maria Syna swego pierworodnego, a owinęła go w pieluszki i położyła Go w żłobie, bo miejsca dla nich nie było w gospodzie."

Organy zamilkły, śpiewy zastygły. W głębokiej ciszy szepcę słowa Przemienienia św.: *"Hoc est corpus meum."* W tej chwili z tronu niebieskiego zstępuje Król Majestatu do swego Betlejem. Trzymam Go w rękach, klękam, adoruję. Boże, bądź nam miłościw. Bądź światu Księciem Pokoju. Zmiłuj się nad Polską, co Tobie zawsze była wierną.

Po uroczystym błogosławieństwie zstępuję z tronu, klękam przed ołtarzem, skąd prałaci biorą Dzieciątko Jezus, żeby Je złożyć w moje ręce. Bazylika zapłonęła tysiącem świec. Szykuje się procesja do stajenki, procesja wspaniała i barwna.

Jak Symeon trzymam Dzieciątko Jezus w ramionach. Lud klęka wzdłuż drogi, dotyka rękami rączek Dzieciątka. Idziemy przez krużganek do stajenki, która dziś tonie w złocie i brylantach. Tam składam Dzieciątko na miejscu Narodzenia. Diakon raz jeszcze śpiewa Ewangelię. Klękam przy słowach: "porodziła Syna swego," biorę Dzieciątko przy słowach: "położyła Go w żłobie," i składam Je na miejscu, gdzie widać wykute w skale ślady żłóbka. Oddajemy Nowonarodzonemu hołd i wracamy krótszą drogą do kościoła.

Kogóż ja tu widzę? Same polskie mundury. Starych wąsali i uśmiechnięte przyjaźnie buzie junaków. — "Skąd się tu wziąłeś?" — pytam najmłodszego. Staśkowi świecą się oczy. Jest szczęśliwy, bo to właśnie on, junak z Judei, napisał tatusiowi, co jest kapralem w Galilei, by się przed pasterką spotkali u bramy kościelnej. I oto tatuś rozpromieniony stoi obok niego. Na pewno mamusia, gdzieś na wsi małopolskiej śpiewa teraz kolędy z siostrzyczkami i zapłakana pyta: — "Gdzie też te nasze chłopy się poniewierają?" A oni są tutaj i przyniosą pamiątki wigilii aż z samego Betlejem.

Inny junak wyruszył bez urlopu z Quastiny. Zabrało go jakieś auto do Jerozolimy. Tam uświadomił go wywiad junacki, że kolację i miejsce w autobusie można dostać w Ain Karem. Wybrał się tam pieszo, osiągnął, co chciał, i jest na pasterce polskiej. — "Myślę sobie, wojna się kończy, a ja jeszcze nie widziałem Betlejem. To byłby wstyd" — oświadcza p. delegatowi Lubaczewskiemu. — "Nieprawda, pan jest dobry, pan mnie nie zdradzi?" Tacy nie zginą. Tacy to własnym przemysłem dostali się z Archangielska do granic Afganistanu. A w Rosji już był pastuchem, potem motorzystą i pracował na utrzymanie siostrzyczki.

Jak okiem sięgnąć — same twarze polskie: żołnierze i nasza ludność cywilna. Chłopcy siedzą nawet na ambonie, bo teraz będzie nasza pasterka polska. Najwyższe miejsce zdobył młody Arab polski, Józef, służący u sióstr Elżbietanek, które z Matką Innocentą na czele zajmują honorowe miejsca w ławkach.

Godzina druga w nocy. Jesteśmy między sobą, gdyż nawet policja opuściła bazylikę. "Teraz są sami Polacy, to nic nie zajdzie. Polacy zachowują się poważnie."

Ogłaszam intencję mszy św. którą odprawię za wszystkich Polaków, żywych i zmarłych, za bohaterski Kraj nasz, za rodziny nasze, za tych, co rozsiani są po bezbrzeżnych przestrzeniach sowieckich, za tych, co cierpią w obozach jenieckich i koncentracyjnych, za wojsko nasze, za pana Prezydenta, za Naczelnego Wodza i cały Rząd Polski.

Asysta przy tej mszy św. składa się z samych księży polskich z ks. kan. Pietruszką na czele.

I huknęły głosy: "Dzisiaj w Betlejem — wesoła nowina!" I znów: "Gdy się Chrystus rodzi." Po Ewangelii wygłosiłem kazanie. Zaraz śpiewają: "Lulajże Jezuniu, moja perełko," z namaszczeniem, z przejęciem, po swojsku — jak w samym kościele parafialnym.

Uśmiechają się do Dzieciątka tak, jak ci górale na obrazie Mehoffera. A potem z mocą jak grom: "Bóg się rodzi, moc truchleje! Podnieś rękę, Boże Dziecię — błogosław Ojczyznę miłą!"

Pasterka się kończy. Z upoważnienia Ojca św. udzielam teraz szczególnego błogosławieństwa apostolskiego, po czym intonuję: "Boże, coś Polskę. Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie" — tak błaga Cię wierny Naród Polski na miejscu, gdzieś się narodził, by złamać moce piekielne.

Wracając do domu, widzimy światełka na Polu Pasterzy. Tam Anioł pasterzom mówił: "Chrystus się wam narodził." Tam przed rokiem Wojsko Polskie obchodziło swą Pasterkę. Na pewno tam już biegiem zdążyli nasi junacy, których mam jutro odwiedzić w Nazarecie i w Quastinie.

X.Bp. JÓZEF F. GAWLINA

rys. TADEUSZ LIPSKI



zdobił STEFAN OSIECKI



Z BIEGIEM WISŁY

Polska leży w środku Kontynentu Europejskiego, otoczona innymi krajami. Jej rzeki mają daleko do morza. Męczą się po drodze i zamiast do Bałtyku wpadają do Wisły. Bo Wisła, płynąc środkiem Polski z południa w Beskidach na północ do Gdańska, cała w Polsce się mieści.

Ze swego źródła wśród paproci i brusznic wytryska w postaci dwóch strużek, jednej jasnej, drugiej ciemniejszej. Mieszkańcy okolicznych wsi mówią o nich żartobliwie, jak o dzieciach. Tak jak gdybyście wy mówili o górnym wąskim biegu waszych rzek: *the baby Tweed* albo *the baby Thames*. Wkrótce te dwie rozbrykane strużki, skaczące z głazu na głaz, nabierają powagi, jednoczą się we wspólnym korycie i tworzą wcale znaczną rzeczułkę. Aby ten fakt uczcić, ludzie chrzczą jej imieniem osadę położoną w tym miejscu doliny, gdzie Wisła rozpoczyna karierę dorosłej, pracowitej rzeki.

Już od miasta Krakowa jest spławna, niesie tratwy, parowce, galary. Później wymyka się górom, wkracza w kraj polny, choć falisty, który jest jednym ze śpichrzów Europy. Z tego to kraju pochodziła drobna jak pył, bielutka mąka pszenna, używana przez wieki na dworze Króla Angielskiego. W środkowym biegu Wisły brzegi jej są usiane starymi śpichrzami, których mury wspierają się o szkarpy kamienne, a front ozdobiony jest falistą attyką. Do nich zwozili rolnicy ziarno z najdalszych prowincyj, by woda niosła je dalej do morza.

Im bliżej Warszawy, tym rzeka szersza, ale też i jak gdyby mniej spokojna. Rozszczepia się na odnogi, zmienia łożysko, wyłania ze siebie liczne wyspy zarośnięte wikliną, siedliska srebrno-białych rybitw o dziobach koralowych.

Ziemie położone poniżej Warszawy przeważnie są płaskie. Jednak brzeg rzeki często bywa wysoki i urwisty, ozdobiony wonnym berberysem, dziką różą i wszelkimi ziołami. Nieraz stoją na nim zamki, lub ruiny, przypominające dawnych książąt, rycerzy, biskupów. Gdzie indziej wyrastają całe miasta, najeżone wieżami kościołów, to znów strażnice samotne, których ognie — po nocy — wskazywały niegdyś drogę flisakom. W ścianach stromego wybrzeża widać liczne otwory — mieszkają tam jaskółki.

Na brzegu niskim ścielą się łąki i sady, gdzieniegdzie lasy sosnowe. Wczesną wiosną, kiedy śniegi topnieją w górach i lody pękają na dolinach, Wisła podnosi swój poziom, mąci się, żółknie, pokryta pianą, a niejednokrotnie szczątkami zrujnowanych domostw. Nie przyroda temu winna, lecz człowiek. Gdyby źli sąsiedzi nie sięgali zawsze po polskie ziemie, Polacy mniej dbaliby o obronę granic, więcej o regulację rzek.

Przez dziesięć wieków polskiej historii Wisła była nie tylko wielką arterią handlową, ale podobnie jak droga do Canterbury, miejscem spotkań i szlakiem legendy. Obok zboża, drzewa, wełny i miodu w towarzystwie kupców — sunęli po niej krypami do obozów żołnierze, szlachta pod żaglem zdążała na sejmiki, czy w zaloty do sąsiedzkich panien. U brodów, u przewozów, na promach matrony dworskie podziwiały hafty na gorsetach chłopek, udzielając rad, jak dzieci leczyć i jak warzyć jadło. Pleban wioskowy rozprawiał o polityce ze stołecznym posłem. A flisacy opowiadali bajki o dalekich stronach.

Najchętniej słuchano bywalców gór i Krakowa. Bo w górach mieszkali zbójnicy, czarodzieje i gęślarze, a w Krakowie smoki i królewny.

Z hali na halę górale chodzili za owcami, grając na kobzach i na gęślach, pasterki śpiewały na całe gardło. Tak wielka była sława tej muzyki, że kiedy stary skrzypek Zwyrtała dostał się po śmierci do nieba, sam Pan Bóg — podobno — kurząc fajkę na progu złotej chałupy, kazał mu grać sobie tatrzańskie melodie. Co usłyszawszy, św. Cecylia, ku zgorszeniu św. Józefa, zaczęła chóry anielskie uczyć "zbójnickiego."

Najpopularniejszym zbójcą Tatr był szlachetny Janosik, bliski kuzyn waszego Robin Hood'a, w obcisłych spodniach z białego lub brunatnego sukna, naszytych czerwoną tasiemką, w pasie skórzanym, na ćwierć yarda szerokim, nabijanym mosiężnymi ćwiekami, w kołpaku, to znów w kapeluszu, okolonym sznurem muszelek, za który pióro orle zatknięte, przebiegał Janosik szczyty i doliny. Bogatym podróżnym odbierał pieniądze, ubogim wieśniakom je dawał. Tropili go żandarmi i wilcy. Śliczne dziewczyny z dolin i wdzięczne małe sieroty zawsze ostrzegały go w czas, a towarzysze zbójnicy otaczali murem groźnie wzniesionych siekierek.

Aż wreszcie obca cesarzowa — w przejeździe przez sioła górskie — dojrzała go, jak tańczył w karczmie ze swoją narzeczoną. Nie było na jej zamkach takiego tancerza, kazała mu wsiadać do karety i jechać ze sobą. Ale Janosik miał serce wierne, nie nęciły go obce, choć i cesarskie przepychy — rzucił się w las. Schwytali go tam zbrojni pachołcy i powiesili na szubienicy wysoko, skąd w ostatniej chwili życia objął raz jeszcze sokolim okiem kochane doliny i góry.

A w dolinach działy się dziwne dziwa. Pewnego dnia, w wieku XIX, kowal wioskowy napotkał na dzikiej ścieżynie wysokiego człowieka w opończy. Nieznajomy zawezwał go, aby wraz z nim pośpieszył do miejsca, gdzie wiele koni czeka na podkucie. Stanęli razem przed urwistą skałą, obcy położył na niej rękę — rozstąpiła się, weszli do pieczary. Wokół spali snem głębokim rycerze, w głębi rżały konie.

Wróciwszy do domu, bardzo się kowal ządziwił, bo małe jego dzieci, a także źrebce, ciołki i jagnięta porosły, żona miała nowe kiecki, dach na chałupie świecił nowymi łatami. Okazało się, że od czasu spotkania z nieznajomym minęły lata. Najwidoczniej wewnątrz pieczary czas nie liczył się wcale. Bóg raczy wiedzieć, czy rycerze nie spali w niej od chwili upadku polskiego Królestwa.

Wytrącony z równowagi kowal począł błądzić po dolinie w nadziei, że człowiek w opończy zawezwie go po raz drugi do kucia koni rycerzom. Jak długo błądził, powiedzieć nie umiem. Jedno wiem, że odkąd nasz kraj po zeszłej wojnie odzyskał niepodległość, legenda o śpiących rycerzach przestała dzieci zasmucać. Zamiast czarowników, na zboczach góry Giewontu, która z profilu przypomina powalonego mężczyznę w pancerzu i hełmie, zjawili się narciarze i turyści; a kowale — zamiast widmowych koni — zaczęli podkuwać *bobsleigh'e*. Niestety, po dwudziestu zaledwie latach wolności, źli sąsiedzi znowu Polskę zajęli. Znowu polscy żołnierze czekają w górach i dolinach na dzień rozprawy z wrogami. Wisła zaś nie tylko blaskiem zachodu się czerwieni.

Już w zaraniu naszych dziejów Niemcy szerzyli śmierć na jej brzegach. W tym czasie, kiedy czczono jeszcze w Polsce bóstwa leśne i wodne, nie zaś Chrystusa i Najświętszą Pannę, pewnego wieczora na wzgórze Wawelu wybiegła dziewczyna o złotych warkoczach, w wieńcu bławatkowym, wzniosła w górę ramiona i skoczyła do rzeki. Z pluskiem zgrozy zamknęły się fale nad jej młodym ciałem. Była to Wanda, córka słowiańskiego księcia, który zabił smoka, nękającego okoliczną ludność, i powyżej jego pieczary zbudował miasto Kraków. Ledwie gród zaczął porastać w zamożność, niemiecki książe zażądał Wandy na żonę. W razie odmowy groził ogniem i mieczem. Nie chcąc ani okrutnego Niemca, ani wojny w kraju, Wanda rozstała się z życiem. Wdzięczny lud usypał jej mogiłę tak prawie wysoką, jak wzgórze, na którym stoi zamek edynburski.

Kiedy Polska była najsilniejszym państwem w Europie i pierwszym *Commonwealth'em*, jej królowie trzymali się Krakowa. Tu są największe polskie kościoły, najwspanialszy zamek, najstarszy uniwersytet. Tutaj przez wieki odzywał się z wieży hejnał urywany na tej samej nucie, na której urwał go niegdyś trębacz, przeszyty strzałą tatarską. Tutaj dzwon katedralny Zygmunt obwieszczał światu wielkie wydarzenia w dziejach naszego kraju, mieszczanie podejmowali ucztami królów cudzoziemskich, a książę pruski składał hołd swemu polskiemu władcy.

Nic dziwnego, że tu właśnie w Krakowie, w roku 1794, po rozbiorze Polski między Prusy, Rosję i Austrię, bohater narodowy Kościuszko przysiągł na rynku, że nie spocznie, póki Polakom nie przywróci wolności. Słowa przysięgi powtórzył za nim tłum chłopów w białych sukmanach, w rogatywkach z pawimi piórami. Tłum ludzi uzbrojonych w kosy, ale i w zapał bezmierny, gdyż Naczelnik zrównał ich w prawach obywatelskich ze szlachtą. Dzisiaj imię Kościuszki, który o wolność człowieka walczył do upadłego nie tylko w Polsce, ale już i przedtem w Stanach Zjednoczonych, jest powszechnie uznanym symbolem niezłomnego ducha. A przecie chłopi polscy muszą nadal bronić swoich pól przed chciwością najeźdźców.

Wielu z was pomyśli: przez jakiż to smutny kraj płynie Wisła! Otóż, mimo swego fatalnego położenia geograficznego i burzliwej historii, Polska nie jest smutna, bo naród polski jest z natury wesoły. Nawet obecnie, wydając z narażeniem życia dzienniki podziemne, Polacy jeden z nich poświęcili żartom z okupanta. Zarówno na wsi, jak w mieście, rok polski oblicza się nie tylko podług oficjalnego kalendarza, ale i podług tradycjonalnych zabaw. Czas między Bożym Narodzeniem a Wielkim Postem jest czasem hucznych wesel, balów, polowań, kuligów i wszelkiego zimowego sportu. Lato znów obfituje w uroczystości, które także na waszej wyspie, przed jej uprzemysłowieniem, szeroko były znane.

Myślę o dniu Lajkonika, Nocy Świętojańskiej i o Dożynkach. Przy czym Noc Świętojańska w Polsce obejmuje obrzęd o szczególnym wdzięku. Oto dziewczyny, zgromadzone nad rzeką, puszczają z prądem wianki, w których tkwią płonące świece. Ta dziewczyna pierwsza za mąż pójdzie, której świeczka najdłużej swój płomień na fali utrzyma.

Wszystkie te zabawy są popisem tancerzy i śpiewaków. Przed wojną młodzież nasza, zwłaszcza miejska, tańczyła te same tańce międzynarodowe, jakie się widzi w waszych *dancing hall'ach*. Tym niemniej stary mazur, krakowiak, oberek, kujawiak i trojak nie wyszły z użycia, a śmieszne wierszyki okolicznościowe, improwizowane na ich nutę, dodawały humoru zebraniom ludowym.

Mazur powstał na Mazowszu, którego głównym miastem jest Warszawa. Pod koniec XVI-go wieku wybrali sobie Polacy na króla monarchę szwedzkiego. Ponieważ za daleko mu było ze Skandynawii do Krakowa, uczynił Warszawę stolicą całej Polski. Mazowsze jest równiną, dlatego może mazur ma charakter biegu. Dziewczyny i chłopcy, trzymając się za ręce, biegną para za parą w radosnej gonitwie, do której tak zachęcają nadwiślańskie łęgi. Jednak krok mazura nie jest łatwy — inny dla chłopca, inny dla dziewczyny. Ona sunie równo z chusteczką w dłoni i wydaje się płynąć. On tupie, skry lecą z podkutych butów, porywa ją ku sobie, to znów od siebie oddala, powiewa czapką, na której wstęgi migocą, później ramieniem krąg niski przed panną zatacza, jak gdyby prosząc w progi swego domu.

Taniec ten, z wesel chłopskich wprowadzony na warszawskie salony, zyskał sławę międzynarodową. Ale kto nie widział go pod polskim niebem wieczornym na murawie między kwitnącymi lipami, ani we dworze huczącym muzyką, kiedy świt twarze i lustra pokrywa bladością, ten nie zna jego prawdziwych uroków.

Król, który Warszawę mianował stolicą, nie miał lekkiej ręki. Ponury samotnik, zawsze czarno ubrany, ściągnął na nią cienie żałoby. Rolnicza, pokojowa Polska, otoczona ze wszech stron narodami drapieżnymi, ceniącymi wyżej grabież cudzej ziemi od uprawiania swojej, po wygaśnięciu rodzimych dynastyj, zaczęła zdążać do upadku. Sejmy odbywane w Warszawie, ratyfikowały jeszcze liczne zwycięstwa, jak n.p. sławny triumf Jana III nad Turkami pod Wiedniem. Triumf nie byle jaki, skoro uratował chrześcijańską Europę od podboju przez Muzułmanów. Ale szczęśliwe duchy naszej historii pozostały w Krakowie. Taż sama Wisła co opływa wzgórze Wawelu, pluszcze pod tarasami warszawskiego zamku; jej plusk tutaj ma w sobie melancholię pożegnań.

Na przekór losowi, Warszawa słynęła z błyskotliwego życia. Zwana Paryżem Północy, przodowała w stroju, w zaprzęgach, dowcipie i manierach. Na dworze warszawskim pełno było nie tylko miejscowych, ale i zagranicznych artystów, pięknych kobiet, wymownych poetów.

Nie sądźcie wszakże, by to miasto było siedliskiem pustoty. Znacie ludzi, którzy śmieją się, aby nie płakać? Warszawa ze zbyt wielkimi przeciwnościami musiała walczyć, zbyt wielkich doświadczać tragedyj, aby mogła wyrobić sobie równy, poważny charakter. Napięcie nerwów w obliczu nieustannego niebezpieczeństwa ze strony sąsiadów wymagało odprężenia w śmiechu. Położenie w samym środku nieosłoniętej niczym równiny, na przecięciu tylu sprzecznych interesów europejskich, nakazywało każdą niemal chwilę pokoju uważać za ostatnią, a całe życie za rzecz kruchą, której nie warto traktować uroczyście.

Bawiono się zatem w Warszawie i śpiewano. Ale za kulisami salonów toczyły się wielkie sprawy. Na lat kilka przed krakowską przysięgą Kościuszki, uchwalona została tutaj jedna z najświatlejszych i najbardziej humanitarnych konstytucyj swojego czasu. Warszawską modą uczczono uchwałę nie tylko biciem w dzwony i modłami, lecz również balem na Zamku. Sam król prowadził poloneza. Wisła zdawała się gorzeć od rakiet i lampionów.

Muzyk, który w kilkadziesiąt lat później skomponował najpiękniejsze polonezy świata, Fryderyk Chopin, pisał je już w Warszawie niewolnej, skrwawionej pierwszą insurekcją, później zaś na wygnaniu, z którego wróciło do Polski tylko jego serce, pogrzebane w jednym ze stołecznych kościołów.

Jednak, ani w ciągu półtorawiekowej okupacji rosyjskiej, ani dziś, pod grozą hitlerowskich tortur, walcząc z potęgami wielekroć przewyższającymi jej siły, Warszawa nie przestała być sobą: miastem uśmiechniętym.

Płyńmy dalej z Wisłą! Opuszczamy Mazowsze. Kujawy przed nami, kraj buraków cukrowych, solankowych źródeł, lasów, błyskających jeziorami, napełnionych wonią żywicy. Kraj zamiłowanych rolników i hodowców, umiejących płody ziemi zamieniać korzystnie w produkty przemysłowe. A jednocześnie kraj, gdzie się dużo poluje i mnóstwo gra w karty.

Mijamy Toruń. Tu urodził się i znaczną część życia spędził Mikołaj Kopernik, astronom i myśliciel, który określił stosunek Ziemi do Słońca. Tu właśnie, w tym polskim zielonym mieście nadwiślańskim, odsłonięty został człowiekowi obraz Wszechświata, trwający do dziś.

Rzeka nie zbacza do Wielkopolski, ale my, skoro poznaliśmy już Kraków i Warszawę, nie możemy pominąć Gniezna. W VI wieku, wódz pewnego słowiańskiego plemienia znalazł na skale gniazdo białych orłów. Wziąwszy to za znak z nieba, zbudował miasto Gniezno, którego nazwa pochodzi od słowa "gniazdo." Wyrosło ono z czasem na siedzibę pierwszego polskiego biskupstwa i pierwszych historycznych książąt. A orzeł biały stał się symbolem naszego państwa.

Pokłoniwszy się w katedrze gnieźnieńskiej prochom św. Wojciecha, który tym był dla nas, czym dla Szkotów św. Kolumba — wracajmy do Wisły. Ostatni to już etap jej drogi, wkrótce zniknie nam z oczu w siwych wodach Bałtyku. Ta strona świata, którą Wisła teraz przemierza, jest wielkim pobojowiskiem. Od zarania dziejów Europy, toczył się tutaj najostrzejszy, niezakończony dotąd bój o prawo Słowian do życia. Niektóre słowiańskie plemiona uległy przewadze liczebnej i technicznej drapieżnych Teutonów. Inne — jak Polacy — zdobyły się na własne państwa i własną historię.

Na prawym brzegu rzeki, niedaleko ujścia leży Malborg, dawna forteca germańskich Rycerzy Krzyżowych. W średniowieczu Zakon ten mordował i palił północno-zachodnich Słowian pod pretekstem nawracania ich na chrystianizm. Polska przyjęła wiarę chrześcijańską w roku 996; mimo to była przedmiotem ciągłych napaści Krzyżaków. Dopiero w czterysta z górą lat później zostali oni rozbici przez naszego króla w bitwie pod Grunwaldem, a świat uwolniony na czas długi od wilków w skórze baraniej. Widzicie stąd, że niemiecki sposób ulepszania ludzi przez obcinanie im głów nie Hitler pierwszy wymyślił.

Zbliżamy się do Gdańska. Pachnie już rybą i sieciami. Wisła rozszczepia się na szereg ramion, śpichrze, żórawie zstępują nad wodę, w oddali widać wieże gotyckich kościołów. Chłopi na polach, a również rybacy, kurzący takie same fajki, jak wasi żeglarze, mówią trudną, osobliwą polszczyzną. To Kaszubi. Niemniej odrębni od Polaków z Mazowsza i z Krakowa, niż n.p. Kornwalijczycy odrębni są od mieszkańców Oxfordshire — pozostali Polsce wierni przez wszystkie czasy germańskiego ucisku. Ich piosenka głosi: Nie ma Kaszub bez Polaków, bez Kaszubów Polski.

Gdańsk od połowy XV do końca XVIII wieku wchodził w skład naszego państwa. Po zeszłej wojnie uznany został za wolne miasto pod protektoratem polskiej Rzeczypospolitej. Obrona Westerplatte, małego półwyspu w ujściu Wisły, gdzie znajdowały się nasze koszary, doki i składy wojskowe, jest jednym z najpiękniejszych czynów odwagi w polskiej kampanii wrześniowej 1939 r.

Przez siedem dni i nocy załoga, składająca się z dwustu ludzi, stawiała czoło ogniowi artylerii lądowej, działom pancernika, tłumom wyborowej piechoty niemieckiej. Odcięci od wody, zagrzebani w piasku wśród dymiących zgliszcz, przyjmowali salwami z karabinów maszynowych wezwania do kapitulacji. *Speaker* Polskiego Radia, który codziennie pozdrawiał ich z Warszawy, ósmego dnia powiedział: "Żołnierze Westerplatte, przedwczoraj słyszeliśmy was słabo, wczoraj nie odpowiedzieliście wcale . . ."

Tak. Nie odpowiedzieli na głos stolicy, wzywającej ich do wytrwania, gdyż na posterunku polegli.

Jak myślicie? Co skłoniło ich do tej wielkiej ofiary? Czy tylko honor żołnierski? Znam moich rodaków i mogę wam powiedzieć, czym się krzepili ginący z ran i z pragnienia obrońcy Westerplatte: krzepili się miłością do Wisły.

MARIA KUNCEWICZOWA



Opowiadanie to zostało napisane, jako komentarz do śpiewnika p.t. "*Singing with the Vistula*," opracowanego przez Jana Śliwińskiego dla dzieci szkolnych w Szkocji /przyp. redakcji./

zdobił STEFAN OSIECKI

PURPUROWY REJS

wiersze z wyprawy norweskiej
CZĘŚĆ I.

. . . Tym, którzy byli nam towarzyszami, braćmi i przyjaciółmi w drodze do Norwegii, którzy przekroczyli krąg polarny, by pozostać tam na zawsze . . .

Melodyjna i słodka jest ziemia norweska. Melodyjne nad głowami im szumią brzozy; mchy są tam miękkie i ciepłe, a granitowe, krwią pisane pomniki skał nie szybko skruszy historia. Mimo to myślę, że trudny i bolesny jest ich spokój. A zwłaszcza dla tego jednego, najmłodszego z nich, przed którym życie podnosiło kurtynę radosnych niespodzianek . . . który tak gorąco pragnął powrócić do Polski.

Ciężki jest spokój na krwawym, narwickim upłazie dla siedemnastoletniego strzelca z trzeciej kompanii, czwartego batalionu, drugiej półbrygady, któremu te słowa jak mszę najgorętszą poświęcam . . .

CHCĘ, BY ŚPIEWAŁO WSZYSTKO WE MNIE,
CHCĘ, BY DZWONIŁO, BY SIĘ NIOSŁO,
I BIŁO — MOŻE NADAREMNIE —
I JAK NADZIEJA W SERCU ROSŁO.
NAJCICHSZY SZEPT, NAJLICHSZE ZDANIE,
MYŚL, KTÓRĄ WARGA WARDZE ZWIERZY
NIECHAJ TU ZNOWU ZMARTWYCHWSTANIE
CIEPŁĄ PIOSENKĄ WŚRÓD ŻOŁNIERZY.
A Z TEJ PIOSENKI NIECH ZBUDZONE
W SERCACH SIĘ NAGLE ROZSZELEŚCI
ROZMARYNOWE I ZIELONE
DRZEWO ŻOŁNIERSKIEJ OPOWIEŚCI.

. . . y el odio y la muerte, por ser
por la patria immortal,
saludan con voces de bronce las
trompas de guerra, que tocan
la marcha triumfal!
RUBEN DARIO, Marcha triumfal

DO CZYTELNIKA

Powieść — posłuchaj, wzywam ją by przyszła.
Słowa już leżą, spadły z drzew, a drzewa,
rosną nad rzeką. Rzeka zwie się Wisła.
A Wisła płynie od Gdańska do Tczewa.
Dalej ktoś nagle porozstawiał kopce
i wygnał rzekę. Historia wygnania,
teraz się nagle w pamięci odsłania,
jak tamto miasto, nasze a dziś obce.
Drzewa nad rzeką rosną kopulaste . . .
Daleko biegną wyciągnięte drogi,
łącząc w uścisku pogubione miasta.
Lutniste gaje, słoneczne rozłogi.
Sady jesienne. Znasz te okolice,
gdzie stoją brzozy w żałobnym poszumie,
nad tamtym brzegiem, blade, jak gromnice,
płaczące tylko tym, kto je rozumie.
Kto widział domy, gdy dymami wiały,
wśród urodzajnych sadów, pełnych blasków.
Kto widział kraj ten jesienią struchlały,
gdy pierwsze bomby spadały o brzasku . . .
Na wschód i zachód, jak długie ramiona,
rzeka swe palce wbiła w piersi roli.
Kto widział wtedy, jak w oczach jej konał
dzień po dniu, szepcąc jak boli, jak boli!
Temu te słowa wypłyną na wargi
krzykiem! O nie krzycz, twój krzyk nic nie znaczy.
Do mnie należy zbierać wasze skargi,
i bóle wasze pieśniami rozpaczy!

PROLOG

Nie wiem dlaczego nagle przyszła
piosenka do mnie, więc piosence
podaję obie moje ręce —
tak jak dziewczynie w tamte lata,
gdym za dziewczynką jeszcze latał,
między czternastym, a szesnastym.
/Dziś zamiast dziewcząt są niewiasty,
a potem chyba pozostanie
już określenie — starsze panie/
Nie wiem dlaczego, skąd i poco,
targa mi ręce, krwawi wargi.
Nie daje usnąć, budzi nocą,
słowami niespokojnej skargi.

Piosenka, znasz ją! Ton po tonie
łączysz, by zdobyć cichy akord.
A potem znów akordów dłonie . . .
a potem znów akordów dźwięki,
jak uścisk niewidzialnej ręki . . .
i masz już słów potoczny taniec,
który się wiąże w ciepłe zdanie.

Piosenka! Ile zdań ci trzeba . . .
Ile modlitwy i miłości . . .
Ile zapatrzeń w błędne niebo . . .
Ile rozpaczy, ile złości . . .
Ile naliczysz się gwiazd, zanim
wiersz pierwszy mocno złączysz z trzecim,
a potem zamkniesz je rymami . . .

Piosenka . . . w końcu jak pąk pola
buchnie płomieniem bujnych kłosów.
I będzie śpiewać o niedolach,
I będzie płynąć rzeką losów,
aż czyjeś wargi najmuzyczniej
cichą melodią ją utulą . . .
I będzie śpiewać już rytmicznie
naszym radościom, łzom i bólom.

. . . .

Zanim zapieje kur
I nim się sława zbudzi,
porzućmy ciemny bór
i wejdźmy między ludzi.

Kto jak kto, ale właśnie on,
poeta albo może,
szept zagubionych dziś już stron,
za lodowatym morzem . . .

. . . musi swą sławę, a jej cześć
wynieść i w gardła rzucić,
by mogli wszyscy w sercach nieść
tę pieśń, a wargi nucić.

Kto jak kto, ale taki, co
się w łachmanach śmieje,
winien z czół spędzać ból i zło,
i w sercach siać nadzieję..

Więc zanim pierwszy krzyknie kur,
I nim się rozpacz zbudzi,
podniosę ten płomienny chór
i pójdę między ludzi!

FRANCJA

A było wnętrze purpurowe.
Przestrzeń okrągła — otoczona
czymś — to coś było lazurowe,
kształtem podobne do bidona.

Bidon, to całość nie objęta
szczegółem — szczegół nie grał roli.
To było słońce i dziewczęta,
miłość dziwniejsza od symboli.

To była Francja-kosz rupieci,
w który ktoś rzucił bukiet-miasto.
I bukiet cały kosz zaśmiecił,
że śmieciom było w nim za ciasno.

To były . . . Paryż, serce świata,
wonna Niceja, ciepły Tulon,
Biarritz, jak cenna, tkana szata,
zwinięta w rzek błękitnych rulon.

Żołnierz się pławił, żołnierz pływał,
przez Bordeaux, Brest, Paryż, Pas de Calais.
I miastom z kosza miłość zrywał,
nie dziwiąc się symbolom wcale.

I z tego wnętrza, z tej purpury
ktoś sącząc kropel żyzną treść,
nie krzyczał patrząc w Côte d'Azuru
twarz, że nie może Francji znieść.

Przeciwnie, świat się śmiał przez szklanki,
choć czułeś zapach Fleurs du Mal.
Dziś czasem poprzez mgliste ranki
pomyślisz: jednak Francji żal . . .

NA OCEANIE

PIEŚŃ PIERWSZA

Niebiesko sobie wypływamy . . .
Pełno okrętów — mowy kurz
unosi się. A miasto dzwoni,
bo siadło sobie z boku mórz.
Cała zatoka, jak na dłoni!
A port, a statki śladem mew
unoszą nasz żołnierski śpiew.

Niebiesko sobie wypływamy . . .
Pełno tu dziewcząt, pełno słów.
Każdy od swej francuskiej damy
bierze całusów pęk, jak bzów,
które zamieniać potem będzie
we wszystkich portach, gdzie przybędzie
w listy, a poczta mewim lotem
odnosić będzie ich tęsknotę.

Niebiesko sobie wypływamy . . .
Brest — stare miasto — wiatru szum
unosi słowa, pamięć głuszy.
Ostatni raz żegnamy damy,
bo statek z mola właśnie ruszył.
Padają słowa, chustki, dźwięki.
Ostatnie podniesienie ręki.
Żegnaj — a miasto jak na dłoni.
Serce się gwałtem pcha do skroni.

Niebiesko sobie morze leży . . .
Niebiesko zenit się układa.
I tylko okręt w pianie bieży.
I tylko statków defilada.
Z portu przez wszystkie falochrony
przedarły się — i pędzą już
do zagubionych w lodach mórz.
Mew tylko w górze bataliony.

Niebiesko wkoło morze leży . . .
Kosz Francji zapadł dawno w dal.
Nie widać nic, a tylko brać
śpiewami daje jeszcze znać,
że z kosza róż najbardziej żal.
Więc płyną z morza do nich słowem
piosenki półrozmarynowej.

Zamilkła. Ból i radość z nami.
Nie można długo smutku chować.
Już w pogubionych w falach słowach
pieśń się zmieszała z okrzykami.
Bo okręt w łonie swym zawiera
dziwów tysiące, a żołnierza
pochłania statku atmosfera.

Więc w każdym kącie są ciekawi.
Wszystko ich dziwi, wszystko bawi.
Opadli statek, maszyn jęki,
Szum kotłów, rej wyniosłych pęki.
Pod pokładami w głębi luk,
szum głosów, nagłych śmiechów huk.

I tak przez wojny nawałnice,
klęski się gubią w młodym śmiechu.
Wpływamy w morskie okolice,
wyniośle, dumnie, bez pośpiechu.
Statek jak rycerz w stal zakuty,
dostojnie podniósł lufy dział.
Obsługa — młode to rekruty —
czujna, gotowa jest na strzał.
A że błękitnie jest w zenicie,
gonią oczami pląsy mew.
Jakżeż radosne jeszcze życie,
w gronie, gdzie huczy śmiech i śpiew.

. . . .

O oceanów tajemnice!
Z mórz nieobjętych ktoś je począł.
Z rzek niezliczonych, ze strumieni,
z łez, które wsiąkły gdzieś do ziemi
powstają wasze okolice.

O oceanów drogi śnieżne,
po których śpieszą się okręty,
jak krótko, tak dalekobieżne.

O oceanie w twojej dłoni
spoczywam ja i mój towarzysz.
I statek i ten śpiew i jeszcze
nadzieja, która z nami goni.
Więc wierzę, że się nic nie zdarzy,
prócz burzy, której nagłe deszcze
nie przeszkadzają w nawigacji.
Więc wziąwszy statek, a z nim sławę
nieś nas na dziwną tę wyprawę.

* * *

A co tam w oceanie śpiewa,
gdy śpiewają burty i liny.
A fale jak kwitnące drzewa,
Wyrastają z wzburzonej głębiny.
Kto woła — jakimi słowami?
Czyżby jakieś zbudzone dziewczęta,
roztańczyły się pod głębiami?
Rozśpiewały się po odmętach!
Ktoś mówi: O wiem, to ona,
każdej nocy na pokład się wspina,
dziwna miłość w zieleni uśpiona.
Dziwna miłość, jak dziwna dziewczyna.
Dziwna miłość. A ja wierzyłem,
że się w czasie, jak księżyc odmieni.
I nie będzie więcej miała siły,
przyjść na wiosnę, bo przyjdzie w jesieni.

PIEŚŃ DRUGA

Czyś widział kiedyś żądła ruf,
jak dziobią fale? Czy ty szczurze
wiesz, co to burta, maszt, kotwica?
Na pewno każde z morskich słów,
tajemniczością cię odurza,
i samym dźwiękiem już zachwyca.

/Pisał mi kiedyś brat z Warszawy,
Ach, co tam świat, co obcy ląd.
Mnie żaden cud nie wyrwie stąd!
Wolę te mury, chociaż w gruzach.
Ulice, domy te, kamienie —
I milsze nawet tu więzienie,
niż na Zachodzie order sławy.

Zapewne — Przyznam bratu rację.
Kocham go za to, że on woli,
jeździć tramwajem do swej Woli,
niż zgłębiać obce nawigacje./

Jest dzień pogodny pełen nieba,
wiatr jak pasażer trzeciej klasy,
sam nie wie czego mu potrzeba.
Zasłabł, bo długo spacerował.
Potem się nagle rozchorował,
Więc poszedł sobie na wywczasy.

Morze jest martwe, słońce właśnie
stanęło — zenit w dłoni trzyma.
Darmo się balon fal wydyma.
Gdy nie ma wiatru fal gromada,
na oceanu dno opada,
gdzie wśród polipów koralowych,
składają umęczone głowy.

PIEŚŃ TRZECIA

W gromadzie zawsze jest wesoło.
Żołnierzy zawsze humor pieści.
Polarne nas objęło koło,
jak koło czułych rąk niewieścich.
Fala ulata, pieśń ją ściga,
Humor polarnym słońcem bryzga.
Zmienia się klimat, czasów kolor,
Od dnia ciągłego oczy bolą.

A dzień oplata się w firmament,
a dzień do kajut blaskiem pcha się.
A dzień w godzinach zrobił zamęt,
i jasną bruzdą wyrósł w czasie.
Świeci nam teraz, rani oczy,
błyszczy jak zorza, jak krzyż, który
zawisł i został tam u góry,
by błogosławić kraj północy.

Płyniem i dziwna nam się zdaje,
ta podróż w dzień na podbój blasków.
/Widziałem kiedyś na obrazku,
taką wyprawę w śnieżne kraje.
Ale do innej okolicy,
płynął po tamtą sławę Legun.
I kiedy zdobył śnieżny biegun,
z Baśką powrócił do stolicy./
A my dla jakiej to zdobyczy,
jak łódź biblijna krążym stale?
Oto z otchłani swojej fale,
rzuciły pierwsze zręby brzegów.
Skały się kąpią w puchu śniegów,
słońce je krwawi, nam na ustach,
wiatr słowo ląd na śpiew rozchlustał.
Jakaż to radość, jaki zamęt.
Wszyscy się tłoczą, wszyscy pchają,
i jedno słowo to śpiewają.
A skały w dali jak sakrament.
W płomieniach, słońce je **objęło,**
i w palce jak opłatek wzięło,
by nam na usta złożyć biały
dar tego kraju — śnieżne skały.

PIEŚŃ CZWARTA

Co zbiorę słowa to jak fala,
od treści w przeszłość się oddalam.
Bo stamtąd nocą do mnie spływa,
niewyśpiewany świat mych marzeń,
i w dziwną przestrzeń mię porywa.
W dziecinną nierealność zdarzeń,
gdzie obraz za obrazem goni,
sceny się plączą zagubione,
i tylko zmarszczka na mej skroni
mówi, że patrzę w dni minione.

I tak . . . spojrzałem nagle w rzekę,
gdzie życie splotem wiklin rośnie,
gdzie woda szumi, gdzie brzeg szumi.
A tylko wieczór w swej zadumie,
kiedy cię spotka to w swym lęku,
echom się skarżyć zacznie głośniej.
I pieśń w tych echach płaczem klęka.

Patrzysz, poganiasz tamte burze,
które dzwoniły w dach kołyski,
gdy noc czaiła się u okien.
Biały lis — księżyc — lśnił na chmurze,
liżąc ozorem srebrne miski,
rzek odchodzących wolnym krokiem.

Za oknem dąb roznosił echa.
Świt bił o szyby, noc dwoiście
złociła drzew gasnące liście.
Księżyc się ogniem gnieździł w strzechach,
przechodząc czujnym krokiem stróża
popod oknami wzdłuż podwórza.
/Pamiętam ciebie niecny trupie,
o oczach, które z głębi nieba
schodziły poprzez okiennice.
Dziś może wierszem się okupię,
bo nie mam nawet tyle chleba.
I puste moje są piwnice!/

Niestety wojna, a tam jeszcze,
w oknach te zjawy — hordy duchów —
Sam nie wiem gdzie je dziś pomieszczę . . .
/Daleko mi do zamożności . . ./
Chociaż niejeden z pasibrzuchów,
należał do mych dawnych gości.

Idą i idą — o, przez księżyc,
który się lisio wszystkim kłania,
prostując ścieżki do mych progów.
O, stanął wreszcie tam — u brogu —
Widocznie iść się dalej wzbrania.
Cisza . . . ! To wiatr się w sobie pręży!

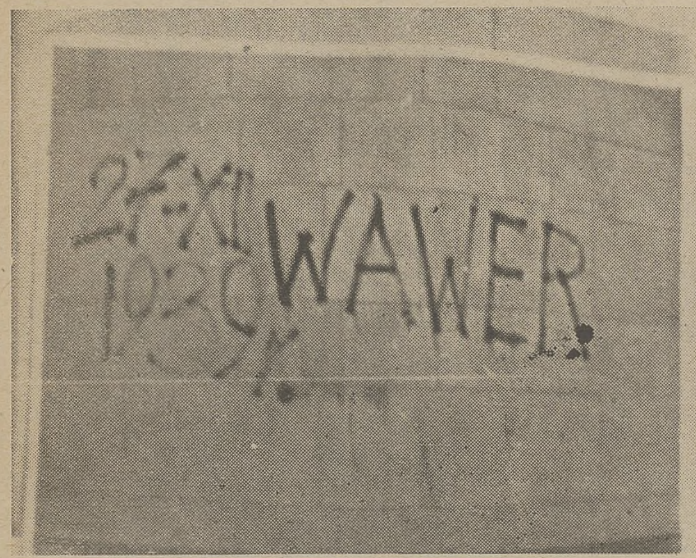
Zaraz tu będą. Mocny Boże,
ile szaleństwa w tej nadziei.
Będą się cisnąć po kolei,
otaczać moje skromne łoże,
strzelać na wiwat strugą piwa,
w księżyc co cicho w drzewach pływa.

A potem zacznie się biesiada.
Dziwna, szalona, lecz w jej treści
tyle poezji dziś się mieści,
że gdy się oknem świt zakrada,
zamkniemy szczelnie noc w tej sali,
w której biesiadni się zebrali.
Bliscy, kuzyni, księża, damy,
słudzy, a nawet proste chamy.

Będziem się bawić . . . lecz w tej chwili
patrząc w rozlane plamy cieni,
i zapraszając, żeby pili
spostrzegłem — wszyscy zaproszeni,
jak kolorowych ciem widziadła —
znikli. Zostałem sam bez gości.
I tylko trochę noc pobladła
spojrzawszy w oczy samotności.

WACŁAW IWANIUK

Polskie państwo podziemne: założenia i organizacja



Napis piętnujący masakrę ludności polskiej — na gmachu Funduszu Kwaterunku Wojskowego /róg Królewskiej i Krakowskiego Przedmieścia/, gdzie dzień i noc panuje ożywiony ruch

POLACY NIE UZNAJĄ WŁADZ OKUPACYJNYCH

Ruch podziemny w Polsce ma odmienny charakter od ruchów podziemnych w innych krajach okupowanych. Spowodowały to odmienne warunki życia, odmienna forma terroru niemieckiego i szczególne zasady, jakimi Polacy kierują się w tej wojnie.

Społeczeństwo polskie, jedyne w Europie przyjęło t.zw. sztywną postawę wobec okupanta. Znaczy to, iż na żadnym odcinku życia politycznego nie ma współpracy z niemieckim okupantem, i że za wszelką cenę unika się /jak dotąd unika się skutecznie/ nawet pozorów stabilizacji stosunków. Mimo parokrotnie ponawianych ze strony niemieckich czynników urzędowych prób stabilizacji stosunków, wyłonienia administracji polskiej współpracującej z Niemcami, wprzęgnięcia społeczeństwa polskiego w polityczną maszynę niemiecką — społeczeństwo polskie zawsze odpowiadało odmownie. Nie ma ani jednego Polaka w t.zw. "rządzie generalnego gubernatorstwa," nie ma ani jednego Polaka, który podjąłby się sprawować obowiązki wojewody czy starosty, czy prezydenta miasta. Na żadnym odcinku życia politycznego Polacy nie ulegli okupantowi.

W konsekwencji stworzyło to stan wyjątkowy. Polacy postawieni zostali jakby poza prawem. Na ziemiach polskich w praktyce istnieje wobec ludności polskiej nieprzerwany stan bezprawia: Polak nie może występować z pozwem przeciwko Niemcowi, ma nie tylko w sprawach karnych, ale nawet w sprawach cywilnych. Polak nie może występować ze skargą przeciw Niemcowi, na żadnym odcinku administracji samorządowej, gospodarczej czy społecznej. Polak nie może być szefem Niemca, żadne kompetencje ani uprawnienia przyznane czy zaakceptowane nawet przez Niemców dla Polaków nie mają siły wykonawczej, jeżeli przedmiotem ich miałby być Niemiec.

Tego rodzaju stan rzeczy wywołał z kolei reakcję polską. Polskie czynniki przywódcze już w roku 1939 zorientowały się, że jedyną w świecie, niezastąpioną sztywną postawę wobec okupanta, nie można osłabiać społeczeństwa w stanie chaosu i wewnętrznego bezprawia. I to oto leży źródło takiej struktury życia podziemnego, jaka w Polsce istnieje.

Przyjmując w końcu tezę, że odpowiedzialni za stan faktyczny stworzony przez Niemców, iż żadne przepisy niemieckie, ani rozporządzenia, ani rozkazy nie obowiązują narodu polskiego, trzeba było stworzyć dla społeczeństwa polskiego jego własne władze i własne urzędy. Ponieważ czynniki polskie wyszły z założenia, że władze te, urzędy, instytucje nie mogą wiązać się z niemiecką maszyną administracyjną i prawną — zaszła potrzeba odtworzenia ich w podziemiu, w drodze konspiracyjnej.

CIĄGŁOŚĆ POLSKIEJ ORGANIZACJI PAŃSTWOWEJ

Już od zarania organizacji polskiego ruchu podziemnego, tuż po upadku Warszawy, przyjęta została ogólna teza, iż nie będzie dążyło się do organizowania jedynie t.zw. oporu patriotycznego, ale że należy odtworzyć władze, urzędy i instytucje państwa polskiego. Zasada ta w następstwie okazała się najbardziej brzemienną w skutkach ze wszystkich postanowień polskich w tej wojnie. Zasada ta brzmiała: państwo polskie istnieje w dalszym ciągu. Istnieje ono poprzez najistotniejsze władze, urzędy i instytucje normalnego, demokratycznego państwa. Istnieje ono na ziemiach polskich objętych granicami państwowymi z dnia 1 września 1939 roku. Rząd natomiast tego państwa, ze wszystkimi konstytucyjnymi uprawnieniami wobec społeczeństwa polskiego, przebywa za granicą, bo tylko działając w warunkach bezpieczeństwa posiadać może możliwości techniczne porozumiewania się z obozem sprzymierzonych i skutecznie działać dla polityki polskiej.

Zasada ta okazała się niezmiernie pożyteczna zarówno dla ruchu podziemnego, jak i dla Rządu. Pożyteczna jest dla ruchu podziemnego, ponieważ daje mu autorytet wobec społeczeństwa polskiego, ponieważ podkreśla jego oficjalność, państwowość. Zasada ta jest jednocześnie niezmiernie użyteczna dla Rządu polskiego, ponieważ daje mu prawo przemawiania i prowadzenia polityki bynajmniej nie w imieniu emigracji polskiej, ale w imieniu całego społeczeństwa polskiego.

Bliższe rozważenie tego zjawiska uwypukla jego ważność. Już od dawna władze podziemne mają prawo nie tylko zachęcać, nie tylko wzywać poszczególnych Polaków do udziału czy to w aparacie Delegata Rządu czy przede wszystkim w organizacji wojskowej. W najcięższych wypadkach Polacy są powoływani albo mobilizowani do pracy lub walki w ruchu podziemnym. Decyzja zależy najczęściej nie od danej osoby, ale od władz podziemnych. Naturalnie, że w praktyce powołuje się tylko element najlepszy i najpewniejszy, ponadto, wiąże często wolną ręką tym, którzy albo nie posiadają technicznych i duchowych warunków niezbędnych do pracy konspiracyjnej, albo nie są bezpośrednio potrzebni.

Osiągnięcie tego stanu rzeczy nie było oczywiście ani łatwe, ani automatyczne. Przemiany i stopień podporządkowania się tej zasadzie najlepiej można było obserwować na sposobach werbowania nowych członków ruchu podziemnego. W 1939-ym roku czy na początku 1940-go, gdy zwracano się do patriotycznego Polaka, proponując mu współpracę w ruchu podziemnym, operowano kategoriami racji sentymentu i patriotyzmu. Gdy obecnie emisariusz Delegatury Rządu czy oficer władz wojskowych zwraca się do Polaka nie operuje już nawet powyższymi kategoriami, są one oczywiste i niepotrzebne do podkreślania. Spełniając swą misję, oświadcza on rozmówcy, iż ten został powołany przez Delegata Rządu Rzeczypospolitej, albo przez Komendanta Armii Krajowej do służby i że proponuje mu się pewien określony przydział. Usprawiedliwić odmowę w takich warunkach mogą tylko przeszkody natury technicznej. Jeżeli ich brakło, a dana osoba odmówiłaby spełnienia rozkazu czy zarządzenia — znaczyło by to automatycznie, iż nie uznaje ona polskiego państwowego autorytetu władz podziemnych. Prawie nigdy nie ma to miejsca.

DLACZEGO NIE MA POLSKIEGO QUISLINGA?

Na tle tych zasad wykształciła się już bardzo wcześnie, bo w 1940 roku, a całkowicie skrystalizowała się, prawie bezpośrednio po upadku Francji struktura ruchu podziemnego.

Jedną z najważniejszych i najistotniejszych rzeczy odnoszących się do niej jest, iż stanowi ona normalne Państwo Polskie. Wszystkie najważniejsze władze, urzędy i instytucje, właściwe normalnemu państwu demokratycznemu w miarę możności i oczywiście w wyjątkowym zakresie zostały odtworzone i zorganizowane w ramach ruchu podziemnego.

Tu jest zasadnicza różnica między ruchem podziemnym polskim a ruchami innych narodów okupowanych przez Niemców. W każdym innym społeczeństwie istnieją normalne władze administracyjne, sądownicze, normalne urzędy państwowe, prawie wszędzie mniej lub więcej legalne rządy — współpracujące z okupantem niemieckim — jego oficjalne władze, mimo że większość obywateli zdaje sobie sprawę, iż jedynym autorytatywnym przedstawicielem polityki narodowej są władze znajdujące się na emigracji. Niemniej na terenie tych ziem działają władze, urzędy i instytucje w ramach wyłonionych przez okupanta, a bynajmniej nie w ramach ruchu podziemnego i konstytucyjnego.

Tu zaznaczyć trzeba, że punkt ciężkości leży w tym, dlaczego ruch podziemny tak powszechnie i tak bezwzględnie przestrzega zasady, aby nie było w Polsce nikogo, który mógłby prawnie reprezentować społeczeństwo polskie, choćby w niewielkiej części społeczeństwa czy w ramach administracji. Mało kto, niestety, dostrzega doniosłość tego, iż ten fakt jest prawie jedyny w tej wojnie. Ruch podziemny z politycznych względów nie daje miejsca w żadnym niemieckim systemie administracyjnym ustalonym przez "Deutsches General Gouvernement."

Tłumaczenie tego zjawiska nie leży wyłącznie — nie ma potrzeby tego ukrywać — w potrzebie bezwzględnej walki. Uzasadnienie tej zasady tkwi w momencie najistotniejszym dla struktury życia podziemnego. Uważało by to się, co skomplikowało by sprawę ciągłości polskiej. Nie można dopuścić ani przez sekundę, by najmniejszy z Polaków miał jakiekolwiek wątpliwości do zasadniczego zagadnienia ciągłości, legalności władzy państwowej. Nie można ani przez chwilę, aby ktokolwiek z Polaków znalazł się w obliczu innej polskiej władzy i innego autorytetu, poza władzą i autorytetem ruchu podziemnego na terenie ziem polskich i Rządu Polskiego na terenie emigracji. Kosztowało to nas bardzo drogo — i świat wie o tym lub powinien wiedzieć.

Jednocześnie jednak dzięki tej bezwzględności i nieoglądaniu się na najboleśniejsze nawet ofiary — zachowaliśmy czystość naszej doktryny państwowej i bezwzględność autorytetu i władzy organów ruchu podziemnego nad wszystkimi duszami polskimi. To, że nie ma w Polsce na żadnym odcinku życiu politycznego współpracy z okupantem, ma nie tylko to znaczenie, iż pozwala nam tak samo wysoko dzierżyć sztandar honoru polskiego, jak dzierżyły go pokolenia Kościuszki, Mochnackiego i Traugutta — umożliwiło to nam także uniknięcie pewnego rodzaju konkurencji we władztwie nad duszą narodu.

Stąd także płynie następstwo na przyszłość: nie będzie w tej wojnie w Polsce politycznej współpracy z Niemcami. Nie będzie w Polsce zdrajcy. Ruch podziemny nie dopuści do tego choćby drogą mechanicznych środków — nawet, gdyby wyłoniła się konieczność stosowania tych środków.

Tej jednak groźby nie należy przewidywać. Charakterystyczny i najbardziej zaszczytny dla narodu polskiego w tej wojnie fakt stanowi to, iż nie było ani jednego wypadku, ażeby zaszła potrzeba zlikwidowania jakiegokolwiek wybitnego Polaka, który wbrew władzom organizacyjnym chciałby współpracować z okupantem. Kilkadziesiąt wypadków zlikwidowania Polaków, którzy okazali się nielojalni wobec polskiej racji stanu, dotyczyło wyłącznie ludzi najmniejszych, bez politycznego kalibru: drobnych agentów, małych prowokatorów, kłótliwych *Volksdeutsch'ów* i t.p.

ZAGADNIENIE RZĄDU

Zagadnienie rządu było od pierwszych dni października 1939 roku jednym z najważniejszych. Zdawano sobie powszechnie sprawę, iż zarówno na terenie międzynarodowym, jak i wewnętrzno-polskim nie można dopuścić, aby państwo polskie jako organizacja, instytucja, władze, urzędy przestało istnieć. Na terenie międzynarodowym osiągnięto to w całej pełni i bez większych przeszkód. Inicjatywa śp. gen. Sikorskiego, autorytet ś.p. Ignacego Paderewskiego, zgodne z Konstytucją przekazanie władzy przez b. prezydenta Rzeczypospolitej na ręce obecnego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, konstytucyjne uformowanie się Rządu pod przewodnictwem ś.p. gen. Sikorskiego — wszystko to umożliwiło, iż Państwo Polskie *de jure* /prawnie/ nie przestało być uznawane przez wszystkie mocarstwa świata, z wyjątkiem tych, które znajdowały się w bezpośrednim zasięgu wpływów państw osi.

Na terenie ziem polskich od pierwszych dni nie było żadnych wahań. Nowo-uformowany Rząd Polski został uznany przez całe społeczeństwo jako konstytucyjny i pełno-prawny Rząd Rzeczypospolitej Polskiej.

Naturalnie, wyłoniła się kwestia albo ustalenia siedziby Rządu na terenie Kraju w ramach ruchu podziemnego albo wyznaczenie pełnomocnika Rządu, który rezydując na terenie Kraju otrzymałby od Rządu generalną delegację władzy.

Za pierwszą tezą przemawiała tradycja polskich walk niepodległościowych. Szczególnie żywo przemawiała do wyobraźni niektórych członków ruchu podziemnego tradycja powstania styczniowego z roku 1863. Trudno nawet wyobrazić sobie, jak ta tradycja ożywiła się i jak w całym szeregu dziedzin prac oddała praktyczne usługi jako po prostu program czy regulamin.

Na ten temat odbyło się wiele oficjalnych konferencji, dyskusji, rozważań, projektów i t.p. i t.p. Ostatecznie została przyjęta teza druga: Rząd pozostaje zagranicą, deleguje jednak na Kraj swojego pełnomocnika, oddając mu generalne uprawnienia Rządu w dziedzinie administracyjno-wykonawczej. Za przyjęciem tej tezy przemawiały trzy momenty — niezależne zresztą od społeczeństwa polskiego, i narzucone faktycznym stanem rzeczy.

Pierwszy moment: gdybyśmy urządzili życie państwowe w ten sposób, iż Rząd znajduje się na terenie ziem polskich, działając z podziemi — siłą rzeczy Rząd ten byłby oddzielony od świata, nie mógłby mieć bezpośrednich kontaktów z rządami sprzymierzonymi, nie mógłby prowadzić polskiej polityki, miałby utrudnioną i niewystarczającą łączność z polskimi placówkami dyplomatycznymi w krajach sprzymierzonych i neutralnych. Udzielenie nawet generalnej delegacji któremuś z ambasadorów czy jakiemuś ciału zbiorowemu nie dałoby odpowiedniej powagi na terenie międzynarodowym. Zaistniało by wtedy olbrzymie pole do nadużyć ze strony wrogiej propagandy, która podważałaby niewątpliwie autentyczność instytucji, oświadczeń oraz politycznych kontraktów tego rodzaju reprezentacji rządowej.

Drugi moment: jeżeli stworzylibyśmy Tajny Rząd Narodowy na terenie Kraju istniałoby straszliwe niebezpieczeństwo przerwania ciągłości państwowo-konstytucyjnej. Któż mianowałby nowe władze, gdyby poprzednie zostały przypadkiem zdekonspirowane i aresztowane? Automatycznie zaistniałoby niebezpieczeństwo niepewności, chaosu a nawet nadużyć politycznych.

Trzeci moment: przy obecnej zasadzie "państwo znajduje się w ruchu podziemnym — Rząd tego Państwa działa na emigracji" odnoszą korzyści, nieosiągalne w żadnym innym układzie rzeczy i Kraj i Rząd. Kraj ma zapewnioną ciągłość organizacyjną ruchu podziemnego. Jest to rzecz często niedoceniana nawet przez polską emigrację. Oto ruch podziemny w żadnym wypadku, przy najstraszliwszych metodach okupanta, przy największej nawet sprawności niemieckich władz bezpieczeństwa, przy największym nawet zmęczeniu i ofiarach ze strony społeczeństwa polskiego — w żadnym wypadku nie wyczerpie się i nie wygaśnie. Nie jest to przesadna ufność we własne siły. Jest to także wynik tego rodzaju struktury życia podziemnego. Tajemnica tutaj tkwi w tym, iż najwyższy ośrodek dyspozycyjny, który naznaczamy, znajduje się w warunkach bezpieczeństwa — poza Krajem.

ORGANIZACJA PODZIEMNA

Na tle wyżej opisanego stanu rzeczy, wykształciła się dosyć wcześnie t.zw. przez nas "struktura ruchu podziemnego." Ogólnie rzecz ujmując, można by Polski Ruch Podziemny podzielić na dwie zasadnicze części: na t.zw. ruch oficjalny, reprezentujący oficjalne władze, urzędy i instytucje państwowe oraz na ruch reprezentujący t.zw. "publiczną opinię podziemną."

Pierwsza oficjalna część ruchu podziemnego składa się z czterech gałęzi potężnie zorganizowanych i mających zasięg na wszystkie ziemie polskie z 1 września 1939 r.

DELEGAT RZĄDU

Jest ona kierowana przez t.zw. Delegata Rządu. On reprezentuje rząd w Kraju na prawach członka gabinetu londyńskiego. On posiada generalne uprawnienia w zakresie administracyjnym i wykonawczym. Ten właśnie człowiek wypełnia lukę spowodowaną przyjęciem zasady: Rząd Państwa Polskiego znajduje się w warunkach bezpieczeństwa i swobody.

Delegat Rządu posiada swoich reprezentantów w poszczególnych dzielnicach polskich. Do jednego z najważniejszych jego obowiązków należy zorganizowanie i utrzymanie na możliwie najwyższym poziomie zarówno politycznym, jak i organizacyjnym "tajnej administracji polskiej."

Istnienie w Polsce tajnej administracji ma ogromne znaczenie obecnie — będzie jednak miało jeszcze większe znaczenie w momencie opuszczania ziem polskich przez armię i władze niemieckie. Wtedy bowiem administracja ta jawnie i automatycznie wejdzie w swoje kompetencje, przejmując władzę z rąk okupanta.

Dwa momenty odegrały rolę w powołaniu do życia tajnej administracji polskiej. Jeden moment to wola społeczeństwa polskiego, dążąca do uniknięcia wewnętrznych zamieszek, walk bratobójczych, w pierwszym okresie niepodległości. Społeczeństwo polskie w momencie ustępowania okupanta nie znajdzie się w politycznej administracyjnej oraz organizacyjnej próżni. Okres czasu od zawarcia *armistice* aż do ostatecznych decyzji Konferencji Pokojowej, okres, w którym niewątpliwie nie będzie warunków na wybory, agitację wyborczą, konsultację szerokich warstw społeczeństwa, walki partyjne — będzie w Polsce okresem wewnętrznego ładu, prawa i stabilizacji.

Drugi moment to moment prawny. Ruch podziemny już od zalążka swojego istnienia stał na stanowisku bardzo legalistycznym. Odnosiło się to także do momentu przejmowania władzy z rąk okupanta. Dzięki tajnej administracji powstanie w Polsce nie będzie tylko aktem zbrojnym przeciwko wrogowi, nie będzie tylko rewolucją społeczeństwa polskiego przeciwko obcej przemocy — będzie także legalnym odebraniem władzy z rąk ciemiężcy.

ARMIA KRAJOWA

Drugim najpotężniejszym i najbardziej rozbudowanym członem ruchu podziemnego jest t.zw. Armia Krajowa. Nie jest to tylko podziemna organizacja wojskowa; jedna z wielu. Jest to oficjalna, legalna Armia Polska. Trzecia armia polska poza armią na Bliskim Wschodzie i armią w Szkocji. Komendant tej Armii ma wszelkie uprawnienia przynależne dowódcy armii w czasie prowadzenia działań wojennych. Członkowie tej Armii mają wszystkie uprawnienia i obowiązki, będą posiadali w przyszłości wszystkie przywileje żołnierzy walczących przez cały czas tej wojny w pierwszej linii "frontu."

Tu jest może jedyna różnica między pierwszym lepszym członkiem Armii Krajowej i żołnierzem armii na Bliskim Wschodzie czy w Szkocji. Różnica, która wynagradza fakt, iż tamtemu nie jest dane nosić piękny mundur żołnierski. Armie nasze na Bliskim Wschodzie i w Szkocji walczą tylko okresowo i tak rozumiane są przez Kraj — Armia Krajowa i wszyscy jej członkowie są uznawani prawnie jako nieustannie biorący udział w walce, jako nieustannie pełniący służbę w pierwszej linii bojowej.

W związku z tym nasuwa mi się tutaj następujące spostrzeżenie. Gdy przyjechałem z Polski do Londynu, spotykałem się w całym szeregu wypadków z pewnego rodzaju zażenowaniem oficerów i władz naszej armii w Szkocji. Zażenowanie to płynęło stąd, iż armia ta niestety jeszcze nie może iść w pole do walki w jednym szeregu z walczącymi armiami alianckimi. Z drugiej strony na moje uwagi, iż każdy Polak znajdujący się poza ziemiami polskimi powinien maksimum czasu poświęcić na kształcenie się, uzupełnianie fachowych studiów, gdyż wszystko to będzie tak nieocenione w przyszłości Kraju, odpowiadano mi często, iż mogło by to być źle zrozumiane przez gospodarzy tego kraju. Spodziewają się oni bowiem, a pragnie tego także każdy żołnierz polski, nie tyle uzupełniania wiedzy, ile brania udziału w walce i ponoszenia strat na równi z naszymi sojusznikami.

Tego rodzaju punkt widzenia wydawał mi się zawsze przesadzony a często dowodził mi, iż ludzie ci, nie zdają sobie sprawy z istotnego stanu rzeczy. Nie można brać emigracji albo armii naszych na Bliskim Wschodzie i w Szkocji jako odrębnych całości. Nie można ich traktować w oderwaniu od tego wszystkiego co pracuje, walczy i działa na terenie ziem polskich. Emigracja nie jest całością — emigracja jest cząstką całego narodu polskiego, i tylko w ten sposób należy na nią patrzeć. W ten sposób powinna ona siebie widzieć. Jak Rząd Polski, jak każdy najniższy nawet urzędnik nie reprezentuje tylko emigracji, ale całe społeczeństwo polskie, tak samo i walczącą armię polską trzeba brać jako całość złożoną z trzech części: Armia Krajowa, armia na Bliskim Wschodzie, armia w Szkocji.

Jeżeli to uczynimy, okaże się, że straty w ludziach, jakie armia polska ponosi już nie nawet proporcjonalnie /bo co do tego nie może być najmniejszej wątpliwości/, ale prawdopodobnie nawet w cyfrach absolutnych są większe od strat ponoszonych przez niezmierzone armie: angielską i amerykańską. To też jakiś kompleks niższości czy zażenowania są tu zupełnie nie na miejscu.

Aktywność i rezultaty Armii Krajowej są na ogół biorąc znane opinii publicznej. Nie należy do tego opracowania zresztą specyfikować je czy powtarzać.

Trzeba uświadomić sobie, że ocenić zasięg ruchu podziemnego w Polsce, jego możliwości jest niezmiernie trudno, nie znając wszystkich metod działania, form organizacyjnych, wszystkiego tego, co w gwarze ruchu podziemnego nazywa się "chwytami."

Niestety, rzeczy tych w większości wypadków nie można podawać do wiadomości ze względów bezpieczeństwa. Nie podając ich jednak, a podając w całości wyniki możliwe do osiągnięcia tylko przy użyciu tych nieznanych na emigracji "chwytów" — budzi się często powątpiewanie. Nie ma jednak na to rady. Historia ruchu podziemnego ujawni kiedyś w przyszłości całość sprawy — i wtedy okaże się jak wiele rzeczy w tej wojnie, rzeczy pozornie nieprawdopodobnych było możliwych do przeprowadzenia.

Całość działań Armii Krajowej podzielona jest na trzy olbrzymie działy. Są to: dywersja — skierowana przeciwko niemieckiej maszynie wojennej, sabotaż — skierowany przeciwko niemieckiej maszynie przemysłowej i cywilnej oraz działalność grup bojowych, popularnie znana jako działalność partyzancka.

Duchowe zespolenie członków Armii Krajowej z armią na Bliskim Wschodzie i w Szkocji jest zjawiskiem w Kraju uderzającym. Niełatwo jest wyrazić, ile jest w tym zespoleniu solidarności i sentymentu. Odnosi się to szczególnie do tych członków, którzy nie byli przed wojną w służbie stałej. Trudno wyobrazić sobie, jak dumny jest każdy chłopak, czy każda dziewczyna, iż są członkami Armii, i z jaką dumą podkreślają, iż walczą w szeregach normalnej, państwowej siły zbrojnej. W tych szeregach najbardziej daje się odczuwać owa jedność: jedność organizacyjna i moralna żołnierza polskiego, gdziekolwiek by się znajdował — w Azji, w Szkocji, na ziemiach polskich. Każde odznaczenie, każda nominacja, każda pochwała, której udziela tym szeregom, czy poszczególnym bojowcom Komendant Armii Krajowej są cenne nie tylko przez to, że stanowią uznanie dla dzielności i użyteczności, ale i dlatego, iż podkreślają owa przynależność do polskiej oficjalnej siły zbrojnej.

Losy Polskich Sił Zbrojnych, przebywających lub walczących poza Polską najżywiej interesują wszystkich w Kraju. Każdy sukces, każde powodzenie, czy każda strata odbijają się głębokim wrażeniem. Tego rodzaju fakt historyczny, jak dwukrotna organizacja Polskich Sił Zbrojnych poza Polską, dokonana przez ś.p. generała Sikorskiego, jest przedmiotem dumy wszystkich Polaków w Kraju. Walki polskiej dywizji w Tobruku wywołały najbardziej podniosłe uczucia, a opisy tych walk zajmowały ogromne miejsce w prasie tajnej. Czyż nie będzie zbyt śmieszne, czy też zbyt sentymentalne, gdy przypomnę sobie tutaj to westchnienie jednej z naszych szarych, przemęczonych "łączniczek," która dowiedziawszy się o niepowodzeniach w Afryce w roku 1942 powiedziała: — "Mój Boże, ledwo nasze chłopaki odeszły z Tobruku, a już . . ."

Polska eskadra lotnicza 303 jest przedmiotem dumy i marzeń nie tylko starych bojowców, ale i przede wszystkim tych tysięcy młodych chłopaków, którzy myślą o niej, o całym lotnictwie polskim z takim rozrzewnieniem.

Wyczyny i straty naszej Marynarki zarówno wojennej, jak i handlowej są najskrzętniej niezmiennie notowane, komentowane i omawiane we wszystkich pismach tajnych. Polacy w Kraju interesują się nie tylko działalnością, czy walką Sił Zbrojnych, pozostających poza Polską — interesują się każdym z osobna wybitnym dowódcą, lotnikiem, marynarzem, oficerem, żołnierzem.

POLITYCZNA REPREZENTACJA KRAJU

Trzecim potężnym członem ruchu podziemnego jest to, co przyjęło się pod nazwą Polityczna Reprezentacja w Kraju. Na czoło wszystkich ruchów politycznych wybiły się w ostatnich czasach cztery kierunki ideologiczno-polityczne. Są to: Ruch Socjalistyczny, Ruch Chłopski, Stronnictwo Pracy oraz Ruch Narodowy.

Każdy z tych ośrodków politycznych prowadzi swoją działalność w ruchu podziemnym jakby na swój własny rachunek. Jest to działalność zarówno bojowa, jak i polityczna, propagandowo-organizacyjna. Odbywa się to, jak już powiedziałem, na odpowiedzialność, ryzyko i rachunek każdego z tych ośrodków.

Jednak przedstawiciele tych ruchów politycznych tworzą ciało, które posiada już charakter instytucji państwowej. Oni tworzą to, co nazywa się Polityczną Reprezentacją w Kraju. Uprawnienia tego ciała zbliżone są zarówno do uprawnień parlamentu, jak i czegoś w rodzaju "Najwyższej Izby Kontroli." Podstawą polityczną działalności jest znana powszechnie, przyjęta przez to ciało Deklaracja Demokratyczna Rządu z r. 1942. Zasada, iż oficjalnie społeczeństwo polskie reprezentowane jest poprzez owe cztery ośrodki polityczne została przyjęta już na początku roku 1940 i uznana także jako t.zw. zasada "sztywna."

Usztywnienie tej zasady zostało w olbrzymiej części spowodowane warunkami technicznymi. Gdyby chciało się dobierać reprezentantów z pośród licznych t.zw. luźnych, ośrodków politycznych, rzeczywiście działających i to często skutecznie w ruchu podziemnym, groziło by to zagubieniem się w chaosie. Jest bowiem niezmiernie trudno, a czasami wręcz niemożliwe ocenić siłę i zasięg poszczególnej organizacji podziemnej. Grałyby tutaj także najprawdopodobniej momenty konkurencji, urażonego prestiżu czy nawet możliwości nadużyć. Z tego względu zasadę, że społeczeństwo w Kraju reprezentowane jest przez tak zmontowaną Polityczną Reprezentację Kraju należy uważać za trwałą i na przyszłość.

Przed ciałem tym odpowiedzialni są politycznie zarówno i to przede wszystkim Delegat Rządu na Kraj, jak i do pewnego stopnia Komendant Armii Krajowej. To ciało kontroluje polityczno-tajną administrację i jej obsadę na stopniach wyższych, budżet zarówno władz cywilnych, jak i władz wojskowych, w skrócie m.i. czuwa także, ażeby rozdział między życiem cywilno-politycznym i aktywnością wojskowo-organizacyjną — był przeprowadzony i ściśle i korzystnie dla sprawności działania.

Współzależność między Rządem i Krajem w stosunku do tej organizacji posiada pewne odchylenie. O ile bowiem władze reprezentowane przez Komendanta Armii Krajowej pochodzą w mniejszym czy większym stopniu a w każdym razie w zasadzie od władz zwierzchnich, przebywających na terenie Anglii /Rząd, Naczelny Wódz/, o tyle na tym odcinku rzecz się przedstawia odwrotnie. Każdy z poszczególnych kierunków politycznych reprezentowany w Politycznej Reprezentacji w Kraju, posiada swoich reprezentantów bądź w niektórych wypadkach, swoje legalne władze organizacyjne zagranicą. Ci reprezentanci, którzy na terenie londyńskim wchodzą w skład Rządu, tworzą t.zw. Koalicję Rządową. Nie oni zatem dają mandat działania swoim towarzyszom w Kraju, ale sami są bądź wyznaczani na reprezentantów poszczególnych ruchów politycznych, działających w Kraju, bądź też uznawani przez ich partie jako legalne władze organizacyjne.

KIEROWNICTWO WALKI CYWILNEJ

Czwarty człon ruchu podziemnego stanowi organizacja p.n. Kierownictwo Walki Cywilnej. Jest to organizacja o specjalnym charakterze. Została powołana do życia dopiero w 1941 r. Uprawnienia jej przypominają uprawnienia Trybunałów Ludowych, wyłanianych przez społeczeństwa w okresach przełomowych. Organizacja ta czuwa nad utrzymaniem "moral" społeczeństwa, podtrzymuje ducha oporu i walki, odpowiedzialna jest jednocześnie przed narodem za to, co nazywamy w Kraju "sztywną postawą wobec okupanta," a co na terenie angielskim przyjęło się w aforyzmie "bez Quislinga." W 1941 r. terror okupanta był szczególnie krwawy i szczególnie bezwzględny. W tym czasie Niemcy posiadali największe sukcesy na wszystkich frontach walki. W tym czasie byli najbardziej pewni zwycięstwa, najbardziej butni, najbezwzględniej traktujący podbite narody, a w szczególności oporny naród polski. Wyłoniły się wtedy dwie potrzeby.

Jedna, to automatycznie działająca kara na zbyt krwawych oprawców, kara traktowana nie jako odruch czy akt rozpaczy, ale jako legalny, prawowity akt sprawiedliwości uciemiężonego, lecz nie upadłego narodu. Tu są początki znanych dziś szeroko t.zw. wyroków śmierci na Niemcach. Stworzeniu tej organizacji należy zawdzięczać, że tyleset okrutnych gestapowców niemieckich, starostów, niemieckich żandarmów, żołnierzy, oficerów, SS-manów zostało wyprawionych na tamten świat.

Druga potrzeba, która doprowadziła do stworzenia tej organizacji, to konieczność trzymania w moralnych ryzach społeczeństwa polskiego a przede wszystkim tych Polaków, czy co częściej, tych *Volksdeutschów*, którzy są za słabi, ażeby w warunkach niemieckiego terroru nie okazać się nielojalnymi wobec społeczeństwa polskiego.

Kierownictwo Walki Cywilnej ma prawo ferowania dwojakiego rodzaju wyroków: kary infamii i kary śmierci. Uczestnictwo w komitetach sądowych ludzi o wszechstronnych i wysokich kwalifikacjach zapewnia, iż wyroki są zawsze sprawiedliwe i umotywowane. Fakt, iż każdy sądzony, choć zaocznie, posiada urzędowego obrońcę, przedkładającego wszystkie okoliczności łagodzące — zapewnia brak nadużyć czy nieporozumień.

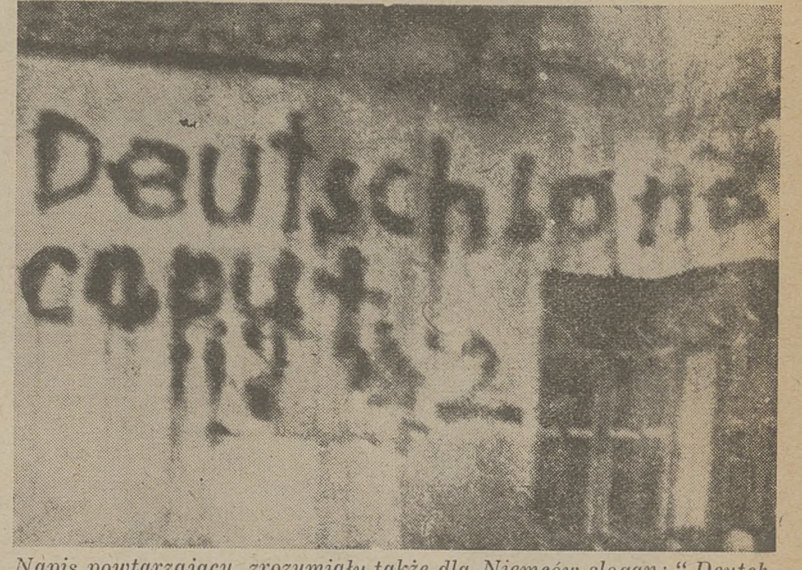
Większość wyroków wydawanych na *Volksdeutschów* i Niemców jest publikowana przed wykonaniem — nie było ani jednego wyroku śmierci, który nie zostałby wykonany, jeżeli wykonanie tego wyroku formalnie nie zostało odłożone na okres powojenny w ramach t.zw. akcji "odpowiedzialności przestępców wojennych."

Kara infamii ma znaczenie specyficzne. Przeprowadza się ją przez ogłoszenie w oficjalnej prasie tajnej nazwiska danego osobnika jako wyobcowanego ze społeczeństwa polskiego. Jest to jak gdyby pozbawienie go praw obywatelskich i honorowych bez uwięzienia. Powoduje ono nieuchronne odosobnienie moralne, towarzyskie i polityczne skazanego. Legalnie fakt ten oznacza, iż skazany na karę infamii, choć praktycznie, w czasie okupacji niemieckiej, poza kompromitacją, nie odczuwa kary, w warunkach swobodnego działania sądów polskich zostanie oddany pod kompetencję normalnego sądu karnego. Tak więc infamię należy rozumieć z punktu widzenia technicznego, w sposób następujący: na podstawie niewątpliwych poszlak działających przeciwko danemu osobnikowi władza państwowa czy opinia publiczna stawia go w stan publicznego oskarżenia.

Omawiając kompetencję i uprawnienia Kierownictwa Walki Cywilnej należy zauważyć i podkreślić fakt świadczący o olbrzymim zdyscyplinowaniu moralnym społeczeństwa polskiego w czasie tej wojny i o wysokiej solidarności narodowej. Nie było dosłownie ani jednego wypadku, ażeby jakiś Polak zajmujący poważną pozycję w społeczeństwie przed wojną czy w czasie wojny, pozycję zarówno polityczną, społeczną, gospodarczą, moralną i t.p. zasłużył na karę śmierci. Wszystkie wypadki dotyczyły ludzi niebezpiecznych z punktu widzenia technicznego a nie z punktu widzenia politycznego. Wszystkie wypadki dotyczyły drobnych stosunkowo prowokatorów, agentów policji niemieckiej i w przytłaczającej ilości wypadków *Volksdeutschów*, którzy zarówno w czasie istnienia państwa polskiego jak i obecnie demonstrowali swoją polskość, ukrywając fakt, iż ich pochodzenie niemieckie oddawna związało ich przeciwko Polsce z niemiecką racją stanu.

Te cztery wyżej wymienione człony stanowią to, co w Polsce nazywa się słowem: "władza podziemna." To, co nazwaliśmy tutaj — polskim państwem podziemnym.

JAN KARSKI



Napis powtarzający, zrozumiały także dla Niemców slogan: "Deutchland caput" — sfotografowany w Warszawie w 1942 roku

Seria wydanych konspiracyjnie znaczków z napisem: "Polska zwycięży"



Seria wydanych konspiracyjnie znaczków z napisem: "Deutschland caput"



rys. JANINA KONARSKA

SZEŚĆ WILJI



Gdzie Rzym, a gdzie Krym? Skąd to w kwietniu pisać o Bożym Narodzeniu! Raczej chyba o Wielkiejnocy?! Sam nie wiem dokładnie czemu to robię. Być może dlatego, że jak drzewo wyrwane z korzeniami i przesadzone na obcą glebę, czuję się źle i tęsknię za tym co było. Być może to bezlitośnie piekące słońce Afryki tak mnie nastraja. A może to dlatego, że myśląc o Polsce, o domu, najczęściej wigilię przecież wspominam, święto rodzin polskich.

Wiele, wiele się zmieniło od dawnych, dobrych, sielskich i anielskich lat. Gdyby ktoś mi powiedział w czasie wigilii Bożego Narodzenia 1938 roku, że za rok będę w Paryżu, w rok potem w Londynie, że następne z kolei święta wypadną mi w Nigerii, a że w Roku Pańskim 1942 świętować będę w Kapsztadzie, na pewno zaśmiałbym mu się w oczy . . . A przecież byłem w Paryżu, rok potem w Londynie, a potem w Nigerii, widziałem Capetown.

Przewracam kartki mojego pamiętnika. Nigdy tego pensjonarskiego zwyczaju przedtem nie miałem. Teraz zaś jestem z pełnym uznaniem dla wszystkich pensjonarek, które kiedykolwiek pisały, piszą i mają zamiar pisać pamiętniki, jako że ja też piszę.

OSTATNIA WIGILIA W POLSCE

Przedpołudnie wigilii 1938 roku spędziłem przy szabli i z podpinką pod brodą, jako oficer służbowy w Kolejowym w Krakowie. Po służbie wypadło mi spędzić moje, pierwsze poza domem, święta samemu, na x-tym piętrze pewnego domu na Cieszyńskiej. "Z przyczyn ode mnie niezależnych" nie mogłem dostać urlopu do mego rodzonego Kutna, miasta sławnego przed wojną tym, że "panowie z Warszawy" ukradli tam most drogowy na jednej z podmiejskich dróg przy czynnym udziale publiki, przyglądającej się temu, sławnego po Wrześniu 1939, z całkiem innej przyczyny.

Była oczywiście choinka, takie maleństwo, kawalerska typu przenośnego, wykombinowana i ustrojona przez ordynansa. Przyszedł wieczór, zapaliliśmy świeczki. Gospodarz domu, Żyd-inwalida /stracił nogę w dziewiętnastym roku pod Lwowem/ przyszedł do mnie i złożył mi życzenia świąteczne. Widać było, że i on, choć obcy wiarą, wczuwał się w atmosferę tego polskiego święta, święta nadziei i wiary w lepszą przyszłość.

Było mi trochę "nieswojo," ale nie widziałem powodu do rozpaczy. Niezadługo potem byliśmy z Alą, na skrzypiącej śniegiem Linii A — B . . . Włóczyliśmy się przy księżycowej nocy. Chcieliśmy koniecznie doczekać się trąbki grającej kolędy o północy z Mariackiej.

I byliśmy szczęśliwi i zadowoleni z życia . . .

24 GRUDNIA 1939. KOSZARY BESSIERES

Żywo stoją w pamięci czerwone ściany brudnawego bloku, pełnego żołnierzy w cywilu i cywilnych w mundurach. Rozczarowanie i rozpacz w duszy i — tą krzepiąca serca otuchą, że przecież wojna jeszcze nieskończona . . .

Od południa, byłem z kilkoma innymi zajęty przy szykowaniu choinki na wieczór. Panie z "*Amis de la Pologne*" uwijały się też przy tym oraz pakowaniu małych podarków dla każdego z nas z etykietką "*Vive la Pologne*" w środku. Po raz pierwszy uczestniczyłem we "współpracy" polsko-francuskiej i, muszę przyznać, dosyć mi się to podobało. Głupio było co prawda, bo po francusku wtedy "ni w ząb" nie umiałem, a po niemiecku nie miałem najmniejszej ochoty się odzywać. Jednak *mademoiselle* Andrée była naprawdę czarującym typem Francuzki tak, że "konwersacja" odbywała się całkiem znośnie. Nie mam dziś już zielonego pojęcia, jak się to odbywało /wiem, że pomagałem sobie przy tym rękoma i nogami/, ale jakoś się "wysławiałem."

Potem wieczór wigilijny, pierwszy na obczyźnie, w zatłoczonej sali jadalnej. Mieliśmy gości, trochę publiczności francuskiej. I choinka duża, nie tak pod sufit, wystrojona i jarząca się świeczkami. Cisza zapanowała, kiedy dzieliliśmy się opłatkiem i na pewno niejedna łza ukradkiem popłynęła . . .

—"Daj nam, Boże, byśmy przyszłe Święta spędzili w Wolnej Polsce" . . . życzyliśmy sobie wszystkiego najlepszego.

A potem popłynęły kolędy i jakby powiało po sali mroźnym i kochanym powietrzem grudniowej nocy z roziskrzonym niebem, gdzieś setki kilometrów na wschód. Myśli mimowoli uciekły w tamtą stronę i krążyły nad Krakowem, nad Kutnem, nad białym domkiem zagubionym w owocowym sadzie. Czy żyją? Jak się mają?

Gen. Haller wstał i zaczął mówić. Nie pamiętam dokładnie o czym mówił, zresztą nie mogłem wtedy skupić myśli nad jego mową. Zdawałem sobie przecież sprawę, że po raz pierwszy widzę i słyszę człowieka o historycznym nazwisku. Potem pułkownik Francuz powiedział wiele ciepłych i serdecznych słów, co zostało nam przetłumaczone przez kogoś przy honorowym stole.

Wzniesiono toast Francji i Polski. Śpiewaliśmy hymny obu narodów. Andrée, siedząca w pobliżu, usiłowała podchwycić nutę naszego Mazurka. Ja znałem tylko: "*Allons enfants de la Patrie*" — reszta w uroczystym "mruczando." Po skończeniu uroczystości odwiedziliśmy leżących na izbie chorych /stale z Andrée/, potem otrzymaliśmy upominki. Czyste chusteczki i przybory do golenia miały naprawdę wagę złota po świeżym przyjeździe z Węgier — w za krótkim paletku i za małej koszuli.

Wreszcie wszystko się skończyło, zostałem sam ze swymi myślami, uparcie wracającymi do swoich. Jednak nie czułem desperacji. Wiara i nadzieja, prawie pewność lepszej przyszłości żyły wtedy między nami w czasie tego Święta Oczekiwania.

ROK PAŃSKI 1940. WIGILIA. OBÓZ POCIĄGÓW PANCERNYCH. DUNFERMLINE

Dużo się zmieniło od czasów francuskiej idylli. Pociąg "Batory" wywiózł nas w samą porę na ostatnią redutę, która się jeszcze broniła i nie miała zamiaru się poddać. Po Francji zostało rozczarowanie i może rozgoryczenie, siedzący gdzieś na dnie, sentyment do tego pięknego kraju, którym obywatele doprowadzili prawie do doskonałości sztukę przyjemnego i wygodnego życia i wzajemnego współżycia.

Zmieniły się czasy, zmienili się ludzie. Już znikało sprzed oczu czasopism: "*Nous vaincrons par ce que nous sommes les plus forts.*" Już nie widziało się więcej rysunków w pismach, gdzie przedstawiano mapę, obutą w ciężki but i kopiącą Hitlera w pośladek . . . W Plymouth uderzył nas spokój, opanowanie, porządek. Nowy prąd otuchy, pokrzepienia i determinacji owiał nadwątlone umysły i serca.

Saperzy dostali prawie z miejsca robotę i to było dobrodziejstwem. Jeśli były narzekania i zgrzyty /gdzież ich po naszym przyjeździe do Anglii nie było?/ to nie groźne i niezbyt ważne. To już taka żołnierska natura, że klnie się swą dolę i kocha jednocześnie.

Koleją losów i drogą służbową wylądowałem w obsłudze pociągu pancernego w t.zw. grupie technicznej. Bawienie się w szeregowych, maszerowanie z karabinami przez miasto, musztra i czołganie się na oczach szkockiej publiczności w parku z początku imponowały i nawet bawiły — potem raczej nie. Najbardziej pocieszające było, że jednak obsady pociągów zaczęły naprawdę wyjeżdżać w różne kąty W. Brytanii, by obejmować "blaszanki."

W międzyczasie kryzys inwazyjny i "blitz'owy" minął swój szczytowy punkt. Zwycięski marsz gen. Wavella w Libii skrzepił ducha. "Ożyły nasze nadzieje . . ."

W takiej to atmosferze i w bezksiężycową oraz "black-out'ową" noc wypadła druga wigilia na obczyźnie. W centrum Glenpark, w sali koncertowej, gdzieśmy prowadzili sceniczny żywot /spaliśmy pokotem na scenie/, odbyła się wieczerza wigilijna. Na tydzień przedtem nasi artyści /mając doskonałą wymówkę na "kiwanie się" od zajęć cięli, kleili, smarowali w różnych kolorach wcale pokaźne ilości papieru, by nadać tej betonowej konstrukcji miły dla oka wygląd. Wysiłki te nie poszły na marne, szczególnie karykatury miejscowych większych i mniejszych "wodzów" były jakże udanym i wiernym odbiciem naszych nastrojów i uczuć w owym czasie. "Pies na służbie" mjr J. był naprawdę wspaniały.

Sala wypełniła się szczelnie mundurowaną ciżbą "pancerników," urozmaiconą tu i ówdzie kobiecymi postaciami. Były to bardziej zażyłe szkockie "znajomości" i grono Polek, będących w owym czasie w Dunfermline. Nie wiem czemu, ale w owym czasie widok Polki nie był dla mnie miłym widokiem. To pewno pamięć o matce i siostrach zostawionych w Kraju, była zbyt piekąca i bolesna; każda twarz kobieca o słowiańskich rysach nieuchronnie przywodziła wspomnienia.

Było dzielenie się opłatkiem, były przemówienia, ktoś tam nawet zaczął kolędę. Ale to już nie był ten uduchowiony nastrój wigilii w Paryżu. Najpierw długo się czekało na oficjalne rozpoczęcie kolacji, potem w czasie jej trwania, po uroczystej części, zaczęło się "angielskie" znikanie od stołu, najpierw pojedyńczo potem grupkami. To były umówione "*dates*" albo zaproszenia na prywatne kolacje. Wytworzył się sztuczny nastrój i zaczynało być nudnawo, mimo dość pokaźnej ilości *whisky*, *sherry* i piwa na stole.

Resztę wieczoru spędziłem w gronie rodziny Gwen. Angielski już zacząłem wtedy "przegryzać," poza tym Gwen nie była zbyt "*particular*," jeśli chodziło o poprawność mojej wymowy. Czas mile schodził w cieple domowego ogniska. Po raz pierwszy jednak, słysząc szkockie kolędy, poczułem się samotny i opuszczony, jak nigdy przedtem. Byłem i jestem do dziś wdzięczny tym ludziom, że w tak prosty i niewymuszony sposób starali się uczynić wszystko, bym nie czuł się zbyt obco i smutnie między nimi.

Będąc znów sam w naszej "stajence Betlejemskiej" /zapuszczony *drill-hall*, gdzie mieliśmy kwatery/ na twardym sienniku, w zaczadzonej od pieców sali, długo czekałem aż litościwy sen wziął mnie w swe objęcia.

To była najbardziej przykra wigilia, jaką miałem w życiu.

24 GRUDNIA 1941. NIGERIA

Szmat czasu i moc nowych wrażeń od czasu szkockich doświadczeń. Wyjechaliśmy z Dunfermline i zadomowiliśmy się w Spadding. Przeszły do wspomnień te wyjazdy *week-end'owe*, za przepustką i bez, do Londynu; wieczory z Maire w "Troice," w "Montparnasse," w "Underground" przy huku artylerii plotn. i bomb niemieckich. I te wyjazdy naszym pociągiem, gdzie moje kolejowo-saperskie doświadczenie zostało wykorzystane przez przydzielenie mnie do . . . obsługi działa i odkąd zaczęła się moja głębsza wiedza o artylerii. Oczywiście powodu narzekać nie było — podobno wszystko może się w życiu przydać. Pamiętam te dnie, kiedyśmy wracali usmarowani od czyszczenia naszej "Baśki" i te noce spędzone na warcie, tak żywo przypominające mi "szkołę charakterów" w Rożanie n/Narwią.

Potem emocje instruktorskiego kursu spadochronowego pod Manchesterem i "Ritz." Potem miesiące oczekiwania: czy wezmą do Brygady Spadochronowej, "*never mind*" na instruktora czy skoczka, czy też nie? I rzeczywiście . . . nie wzięli.

Nieróbstwo i płynący z niego nastrój apatii zaczęły ciążyć. Wyczyny z cyklu "nasi za granicą" zaczynały być coraz bardziej głośne między miejscową ludnością. Na wspaniałej glorii polskiego imienia, zapoczątkowanej w Anglii Narwikiem, naszą rezolutną postawą w najkrytyczniejszych momentach czerwca 1940 oraz legendarnymi prawie wyczynami Dywizjonu 303 zaczęły pokazywać się cienie i rysy — często przesadzone lub nawet nie zasłużone. To zaczęło boleć. Gdy więc przyszła okazja zobaczyć tropikalną Afrykę i pobawić się w małych wodzów Czarnego Luda, powiedzieliśmy sobie z Tadkiem: "Jadziem, panie Zielonka." No i pojechaliśmy.

Pachniało Dakarem i tropikalną nocą. Gapiliśmy się na szafirowe, ciepłe wody Południowego Atlantyku i, jak na rdzennych Polonusów przystało, oddawaliśmy przez pewien czas Neptunowi ofiarę z jadła i napoju, przechyleni nad siwą burtą dobrotliwej "Nar-kundzi." Pierwszy raz w życiu widziany port, palmy, kokosy, banany, ananasy, masy murzynów i Ląd — wcale nie Czarny — raczej rdzawego koloru, otoczony morzem zieleni.

Na miejscu naszego przeznaczenia trudno się jednak było dopatrzeć tropikalnej Afryki. Szczęśliwym trafem dostaliśmy się w wysoko położoną część kraju w północnej Nigerii. Krajobraz przypominał "Na srebrnym globie" Żuławskiego. Golizna w koło, szara w suchej, a zielona w deszczowej porze. Jedyne urozmaicenie na tym płaskowyżu to ogrodzone kaktusami wsie pogańskich, pół-pierwotnych, pół- i całkiem nagich murzynów oraz zwietrzałe skaliste wzgórza. Poza tym okolica wyróżniała się zbliżonym do umiarkowanego klimatem oraz czerwonawymi rozkopiskami kopalń cyny z mrowiem czarnych robotników i rzadko widzianym białym, kierującym robotą, prowadzoną systemem Nabuchodonozora. Jako atrakcję mieliśmy kilka mil opodal miasto z piękną, zatopioną w zieloności dzielnicą europejską i brudną, stłoczoną, hałaśliwą częścią tubylczą. Były tam dość dobrze zaopatrzone sklepy, kino z tygodniową zmianą programu, kościół katolicki, szpital, poczta.

Tadka na wigilii nie było. Było nas jednak trzech Polaków na miejscu, więc postanowiliśmy urządzić wieczór po naszemu. Jako miejsce wybraliśmy *gidę** Staśka Gr., jako, że "starokawalerskim" zwyczajem wnętrze było tam utrzymane pedantycznie czysto, obwieszone skórami, koralowymi naszyjnikami, makatkami z kolorowanych traw a wszystko równiutko i porządnie jak znaczki w jego albumie.

Stefan Ch., jako znany w kraju i za granicą artysta malarz i śpiewak /trochę muzyk też/ — w każdym bądź razie największy między saperami /i vice versa/ — miał na swej głowie dekorację i w ogóle tę stronę wieczoru, o której się mówi: "coś dla ducha." Na mnie oczywiście spadła "czarno-robocza" część imprezy. Głównym zagadnieniem było wystarać się o choinkę. Ponieważ świerk był w sferze marzeń, najwłaściwszym wyjściem z tej sytuacji wydało się nam ustroić . . . kaktusa, takiego z ogrodzenia pobliskiej wioski murzyńskiej.

Mój Musa, czarny ordynans, kucharz, praczka, krawiec i szef zakupów w jednej osobie, został obarczony misją dostarczenia tegoż kaktusa w odpowiedniej wielkości. Jestem pewien, że na wieść o tym pomyślał sobie, iż ten *Bature*** /niby ja/ ma dziś głowę niezupełnie w porządku. Po kiego licha mu ten ciężki, kolczasty krzew, który każdy omija z daleka? Mimo to powiedział: — "*Yes Saah!*" i zniknął.

Po długich godzinach oczekiwania, wrócił okrężną drogą przez "*market*," gdzie oczywiście zwilżył sobie gardło łykiem "*pito*."*** Uważając mój wymysł z kaktusem za oczywisty nonsens, lecz chcąc być "krytym," przyniósł mi na-wpół zeschłą odnogę, która leżała pewnie gdzieś na ścieżce, zerwana kilka tygodni temu. Po ożywionej dyskusji prowadzonej w raczej podniesionym tonie, Musa, wściekły na świat i ludzi, powlókł się znowu do wsi.

W jakiś czas potem zobaczyłem go w towarzystwie idącej przodem nagiej poganki, która dźwigała na głowie potwornej wielkości kaktus. Za fatygę Musa dostał szylinga, co wydatnie wpłynęło na poprawę jego humoru i rozbudziło zainteresowanie co do dalszych losów "drzewka." Nie zapomniał oczywiście dodać, że czarna "carrier'ka" musi dostać też trzy *pennies*, co mu dało dalsze dwa peniaki dochodu.

Kaktus był naprawdę okazały — nie chciał się zmieścić do "*gidy*." Przycięliśmy go jednak spodem, wstawiliśmy w wypełnioną piaskiem puszkę po benzynie i, jako "choinka," stanął na poczesnym miejscu. Teraz zaczęliśmy załatwiać gwałtownie moc spraw w kancelarii kompanijnej — bystry obserwator nie dziwiłby się skąd Stefan miał potem tyle papieru maszynowego na dekoracje . . .

Przed zachodem słońca wszystko było gotowe. Na ścianie za kaktusem zwieszała się biało-czerwona flaga, której czerwony materiał tyle Staśka kosztował zachodu. U szczytu "choinki" jaśniała wielka biała gwiazda, trochę niżej świeczki nadziane na kolce i moc białych orzełków rozsianych na odnogach. Łańcuchy papierowe, w których paski pocięte z gazet bynajmniej nie raziły, kilka naszyjników zawieszonych tu i ówdzie, dopełniały całości przybrania. Miast opłatków mieliśmy niepoświęcane hostie od księdza z miasta. Oczywiście, jak obyczaj każe, buteleczki "łyskacza," "*sherry*," i innej *brandy* były pod ręką. Nawet zeschłej trawy podłożyliśmy pod prześcieradło, rozpostarte na kilku skrzynkach, co niemal zupełnie wyglądało, jak stół nakryty obrusem.

Zaprosiliśmy kolegów — oficerów brytyjskich "*to have a drink together*," przy czym Stasiek ostrzegł nas uroczyście: "Ojcowie, macie prawo się urżnąć w kij, ale zaznaczam z góry — płaczów nima." Po kolacji w mesie zebraliśmy się w komplecie. Prócz nas był jeden kapitan Szkot, porucznik angielski i doktór o szkockim nazwisku oraz semickim wyrazie twarzy. W przystępie dobrego humoru doktór przyznał się, że ma żonę Polkę, której nazwisko niestety zapomniał.

Zagorzały świeczki na kaktusie, zaczęliśmy dzielić się opłatkiem i życzyć sobie: "Aby następne Święta w domu!" . . . Nasi goście przyglądali się temu i, nie rozumiejąc oczywiście, nie mieli nic przeciwko temu co robiliśmy. Potem Stefan zaczął próbować melodyj na harmonii a my wszyscy głosów. I wyrywały się kolędy jedna i druga, tak od serca, i zapomniało się na moment o tysiącach mil dzielących nas od kraju, o Afryce i murzynach. Staśka, mimo uprzedniego zarzekania się, trzymanie się w ryzach kosztowało tyleż samo, co nas ze Stefanem . . .

Ergo zaczęliśmy pić, jak szewcy. Zrobiło się weselej i raźniej w naszym gronie. Śpiewano szkockie i angielskie kolędy, a potem niekoniecznie kolędy. Nasi goście chcieli słyszeć nasze piosenki — rzecz jasna, ta o "cywilach o północy" podobała się najwięcej. Byliśmy w coraz bardziej błogim nastroju, kaktus wydawał się naprawdę choinką, niestety całkowicie "zalać robaka" się nie dało.

Przed północą wybraliśmy się we dwóch ze Stefanem do miasta na pasterkę. A jakże! Stefan w przystępie rozmarzenia chciał pomóc czarnemu kierowcy przez zmianę biegu bez wyciskania sprzęgła przy 40-stu milach na godzinę. Szczęściem moje marzenia były skierowane w inną stronę, dzięki czemu mnie i Stefana można wciąż jeszcze oglądać w Nigerii.

Kościół jasno oświetlony, pełen czarnych katolików obojga płci, ubranych w co mieli najlepsze, oraz garść białych w pierwszych ławkach. Msza taka jak w polskich i wszystkich kościołach katolickich świata. Ten sam kapłan w ornacie odprawiał pasterkę o północy i tak samo dzwon rozkołysał się na: "Gloria."

Biedne Stefanisko po przejściu uniesienia ścichł w kościele i klęknąwszy, wsparł głowę w dłoniach i zatopił się w modlitwie. Trwał tak do końca mszy i, kiedy na ostatnią Ewangelię wszyscy wstali prócz niego, zrozumiałem, że biedak zmorzony wrażeniami, zasnął na klęczkach.

W drodze powrotnej gapiliśmy się na księżyc, wiszący nie jak pionowy rogalik, lecz przekręcony na niebie jak płaska miseczka. Ale najwięcej nas interesował Wielki Wóz i Gwiazda Polarna, co pokazuje kierunek do Polski.

* *gida* — w języku Hausa "dom" /mały, okrągły z niewypalanych cegieł pokryty stożkowym dachem z trawiastego poszycia/.

** "biały człowiek" /Hausa/.

*** rodzaj upajającego napoju bardzo mocnego i o okropnym smaku.

24 GRUDNIA 1942. CAPETOWN

I znowu rok odwalony, jak skiba, pługiem życia.

Miałem szczęście, dostawszy urlop już po 10-ciu miesiącach pobytu w Nigerii. Wiem, że mi poniektórzy zazdrościli, zresztą słusznie, jeśli się zważy, iż są tu biali z dwuletnią służbą a — bez urlopu. Zawsze wyobrażałem sobie, iż wrócę na wywczasy do Szkocji, do W. Brytanii w każdym bądź razie, zobaczyć starych znajomych. Z czasem jednak, gdy najpierw zabroniono kawalerom jechać do Anglii, a wskazano Płd. Afrykę jako miejsce urlopowe, a potem, wyjątkowo dla Polaków, uchylono ten zakaz, moja decyzja uległa zmianie. Cygańska żyłka kazała trzymać się możliwości zobaczenia nowego kąta świata.

Pojechaliśmy więc z Heńkiem K. oraz kapitanem w służbie Jego Królewskiej Mości K . . . dalsze 3000 mil wzdłuż Afryki. Minęliśmy po raz pierwszy równik /Neptunowej uroczystości jednak nie było/, widzieliśmy porty Francuskiej Afryki Równikowej i w jednym z nich leżący na mieliźnie krążownik Vichy, niemy świadek francuskiego rozdwojenia. W jednym z portów byliśmy świadkami wielkiej gali z powodu wizyty gen. de Gaulle. Potem kiwało przeraźliwie przez dwa dni /mówiono nam, że mieliśmy "wyjątkowo" spokojne morze!/, wreszcie zawinęliśmy do Capetown, Tawerny Siedmiu Mórz.

Nie zapomnę nigdy pięknego obrazu nowoczesnego miasta u stóp, przytłaczającej je *Table Mountain*. Urlop, swoboda poruszania się wszędzie, wspaniała pogoda, przypominająca nasze wieczne lato, ułatwienia na każdym miejscu.

Oczywiście zaciągnąłem Heńka do kina /kina są tam naprawdę wspaniałe/. Staliśmy w ogonku przed kasą i powiadam do niego: — "Tylko se popatrz, rany Boskie, żywa kobita i BIAŁA!" Jakież było moje zdziwienie i zakłopotanie, gdy ta "biała" kobieta podeszła do nas i odezwała się p-o-p-o-l-s-k-u z akcentem, który nikogo zmylić nie może: — "Oh, panowie rodacy!" . . .

Potem Johannesburg, półmilionowe, z amerykańskim rozmachem rozbudowane Golden City, miasto, które mi przypomniało kochaną Warszawę, i w którym spotkałem swe przeznaczenie.

Jednego dnia miałem spotkanie z Thelmą w pewnym wielopiętrowym bloku na Rissik Street i, pomyliwszy się o jedno piętro, poznałem Sonię. W dziesięć dni potem stanęliśmy przed ołtarzem w towarzystwie gości weselnych z Heńkiem, jako moim drużbą, na pierwszym planie. Odbyło się wesele, na którym byłem jedynym przedstawicielem mojej rodziny. Najkrótszy miesiąc jaki miałem w życiu, to był właśnie ten miodowy miesiąc. Nie mogę powiedzieć, by początek mojego "*stand to*" przed odjazdem i pójście do *Transit Camp* sprawiły mi przyjemność. Żona wróciła do rodziców.

Wigilia Bożego Narodzenia wypadła na krótko przed odjazdem. Szczęśliwym zrządzeniem losu dane mi było spędzić Święta w gronie rodziny t.j. żony, teściowej i 13-letniej szwagierki. Po męczących tygodniach niepewności, czy Sonia, przyjechawszy z powrotem do Capetown, zastanie mnie tam jeszcze, pewnego dnia dostałem telegram, że "familia" zjeżdża na Święta.

Samą wigilię jednak spędziłem samotnie. Nawet Heńka nie było ze mną; został w *Campie*, gdy ja wyjechałem do miasta. Trzeba przyznać, że stan małżeński był dla mnie wtedy wielką nowością. Ileż mnie to nerwów i zdrowia kosztowało, by przygotować się godnie do roli gospodarza. Wiem, że latałem po bazarach i sklepach i, w miarę moich możliwości /znacznie zresztą ograniczonych/, znosiłem do hotelu różne cudeńska, zarówno potrzebne, jak i nie. Kupiłem między innymi paczkę proszków na ból głowy, jako że kobiety lubią miewać migreny w najbardziej niespodziewanych porach. Poza tym sam nie byłem zbyt pewien swej głowy: mój Boże, czekało mnie zabawianie trzech kobiet jednocześnie — to nie fraszka. Szczęściem od południa zamknięto sklepy. Skończyło to me duszne rozterki: a co tu jeszcze przynieść?

Zostało jeszcze do spędzenia pół dnia i noc. Wybrałem się do kawiarni-kina, gdzie można sobie podjeść i gapić się jednocześnie na obraz. Trzy godziny wcale mile spędzone. W Klubie Oficerskim /ze wszech miar godnej polecenia instytucji/, gdzie postanowiłem spędzić noc, z zapadnięciem wieczoru zaczął się ruch. Czasowi mieszkańcy tego gościnnego domu golili się, kąpali, myli, czesali z dużo większym przejęciem i namaszczeniem, niż zwykle. Każdy prawie miał zamówioną wizytę lub spotkanie, by wesoło spędzić wieczór. "*Christmas Eve dances*" mają ustaloną sławę w Capetown.

Z pierwszymi gwiazdami na niebie znalazłem się z powrotem na ulicy i zacząłem swoim zwyczajem samotną wędrówkę po mieście. Od morza szedł rzeźki chłód i porywisty wiatr chwytający niespodzianie przechodnia na skrzyżowaniach i rogach ulic. Tłumy ludzi różnych narodowości i ras przewalały się po zaciemnionym mieście. Kawiarnie i bary przepełnione, ogonki przed kinami. Mundury południowo-afrykańskiej oraz tuzina innych armii i *Navies*.

Gdzieś na rogu widzę dwu słaniających się żołnierzy brytyjskich; jeden zdecydowanie kładzie się w poprzek chodnika, drugi usiłuje go podnieść i po chwili też kładzie swe strudzone kości obok towarzysza. W mdłym świetle latarni zjawia się postać policjanta z widocznym grymasem na twarzy. Trochę dalej spostrzegam marynarza, leżącego na kraju rynsztoka; zdaje się całkowicie zadowolony ze swego położenia, bo pomrukuje coś do siebie z szerokim uśmiechem na twarzy. Na którymś tam piętrze ponad głową gra muzyka taneczna. Grupa młodych ludzi w mundurach, mocno podchmielona, wali środkiem jezdni z hałaśliwym śpiewem; niektórzy zaczepiają kolorowe kobiety, które bynajmniej nie czują się tym obrażone.

Jakim że kontrastem tego było ciche, słabo oświetlone wnętrze kościoła! Tylko kilku pobożnych siedziało jeszcze w ławkach lub klęczało przed ołtarzami. Księża skończyli właśnie spowiadać i opuszczali konfesjonały. Zatrzymałem się dłuższą chwilę przed żłóbkiem, ustrojonym tak samo jak w Polsce, przy bocznym ołtarzu. Te same postacie, i wół, baran, pasterze witający Wielką Nowinę.

Jednak rzeczą najbardziej fascynującą każdego Polaka, który znajdzie się w Kapsztadzie /miasto to ma podwójną urzędową nazwę/ i przypadkiem odwiedzi St. Mary's Cathedral, jest obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, z napisem: "Módl się za nami" u spodu, wiszący na jednym z filarów koło ambony. Ktoś z naszych rodaków postarał się zamanifestować w taki prosty, poruszający sposób polską katolickość w tym odległym zakątku świata.

Moi goście przyjechali następnego dnia rano pociągiem z Johannesburga. Pociąg był spóźniony tylko pół godziny, co było wyjątkowym wyczynem, jeśli się zważy, że maszynista był dobrze podchmielony a "*Xmas train*" przeciążony i przez całą, blisko 1000-milową trasę, mijał świętujące i zaludnione stacje, gdzie bez wiwatowania i dekorowania wagonów na pewno się nie obeszło.

Wieczorem urządziliśmy coś w rodzaju spóźnionej wigilii i Heniek też znalazł się z nami. Miałem ze sobą opłatek przysłany mi z Polski w liście z domu, który przechowywałem jak relikwię. Tym opłatkiem zaczęliśmy się dzielić polskim obyczajem i życzyć sobie wszystkiego najlepszego i wszelkiej pomyślności.

Mała Betty, trzymając przez jakiś czas w niepewności okruchy opłatka w ręku, zapytała mnie wreszcie:

—"*Sigmund, what I'm supposed to do with it?*"

—"*Just eat it, darling . . .*"

W dwa dni potem odpłynęliśmy z Capetown.

— — — — — — —

Słońce praży bezlitośnie za dnia. Zachód słońca przynosi trochę chłodu, potem znów męczące, parne godziny nocy. Czas jednak schodzi szybko, choć jest naprawdę spędzany w pocie, nie tylko czoła, ale całego ciała. Znów jesteśmy razem ze Stefanem. I obaj cieszymy się myślą, że za pięć miesięcy nasz kontrakt się skończy i dwa lata spędzone tutaj przejdą do wspomnień. Obaj chcemy dołączyć potem do naszego Wojska na Bliskim Wschodzie. Dwa lata pobytu tutaj wystarczają na zaspokojenie żądzy zobaczenia tropikalnej Afryki, przynajmniej na dłuższy okres czasu.

Na moim kalendarzu co dnia skreślam z satysfakcją jedną cyfrę, każdy przeszły dzień, który zbliża nas do końca naszego pobytu w Nigerii. Nie będę opuszczał jej z przekleństwem na ustach, być może po latach będę chciał ją odwiedzić znowu — na razie jednak ciąży mi.

I tak już mimo woli myśli wybiegają wprzód. Gdzie i jak spędzimy następną wigilię? Tę piątą na obczyźnie, a dla mnie i pewnie wielu innych szóstą zdala od domu. Czy tym razem, życząc sobie przy opłatku. — "Oby w przyszłym roku w Wolnej Polsce," będzie to tylko pobożnym życzeniem, czy też przeświadczeniem, że czas ciemności ma się ku końcowi i bliski jest Dzień . . . ? I czy z Mariackiej trąbka odezwie się kiedyś o północy i czy z wszystkimi drogimi sercu zgromadzimy się znów wokół jarzącej się choinki, by prosić Boską Dziecinę: "pobłogosław krainę miłą" . . . —

Nigeria w kwietniu 1943.

ZYGMUNT JUSZKIEWICZ

Pierwsza wigilia jeńca

Nigdy dotąd nie byłem tak daleko, tak odgrodzony od wszelkiej łączności, tak zepchnięty w głębię samotnych przeżyć, samotnej pustki, samotnej rozpaczy. Każde przypomnienie jest jak ukłucie w serce. Bodziec wprawdzie, ale bolesny, niczym ostroga, gdy orze ostrzem zmęczone boki konia. Zrywam się, ale brak mi tchu. Budzę się, ale jakby bez siły patrzenia otwartymi oczami w całą otchłań teraźniejszości.

Teraźniejszość natomiast zdradza coraz żywsze przygotowania do obchodu świąt Bożego Narodzenia. Dzieją się one niezupełnie za naszymi plecami, bo chociaż robota przeniosła się z pól do lasu i skazuje nas codzień na wiele godzin piłowania drzew, noszenia grubych kloców, cięcia siekierą, to jednak każdy dzień teraz przeniknięty jest już szczególnym nastrojem zbliżania się Gwiazdki. Przebija ten nastrój z rozmowy Polaków, skupionej przy tym temacie, z krzątania się bab w domu Schnabla około porządków, a także pieczenia pilnego, wreszcie i w naszym własnym życiu rośnie troską o przygotowanie tego obchodu w sposób najlepszy, najbardziej godny, uroczysty nieledwie.

Ziąb był już przejmujący, marzło się cały dzień, przy robocie nawet, buty wilgocią nasycone nie przesychały dosyć przez noc, a tu w dodatku wobec ucieczek jeńców mimo zimy, przyszedł rozkaz zostawiania ich za drzwiami, gdzie nie mogły korzystać z dobrodziejstw pieca i co rano twarde, zmarznięte na kość trzeba było własną nogą rozgrzewać i rozmiękczać. Był to zresztą wstęp tylko do dalszych rozporządzeń utrudniających jeńcom organizację ucieczki — za parę miesięcy miano obostrzyć ten rozkaz o butach nowym zarządzeniem: jeńcy, choć zamykani na noc, musieli oddawać spodnie. Chodziliśmy wobec tego na naszej kwaterze już tylko w gaciach, czekając kiedy i te nam zabiorą.

Był swego rodzaju paradoksem ten fakt nieufności władz do drutów kolczastych, kłódek i sztab żelaznych, odgradzających nas od reszty świata. Panowała w umyśle Niemców nieufność nawet do ciągłej obecności *wachmana;* podejrzewali nas o zdolności przechodzenia przez zamknięte drzwi i tak silne dążności wyłamania się, że uważano za konieczność jeszcze tym dodatkowym kurtyzowaniem stroju utrudniać jeńcom drogę do wolności.

Do chłopów przyszedł w owym czasie okólnik, którego tekst przeczytałem niechcący, zostawił go bowiem Schnabel na stole razem z gazetą. Przestrzegano w nim Niemców, by nie zechcieli przypadkiem pozwolić na wzięcie udziału jeńca albo robotników z Polski w tej niemieckiej, rodzinnej uroczystości, jaką jest zbliżająca się Gwiazdka. Pamiętajcie, że było by to poniżej godności narodu. Nie ma przy waszym stole miejsca dla owych ludzi. Niech sobie świętują jak chcą, byle osobno. Oto okazja podkreślenia różnicy między zwycięzcą i zwyciężonymi. A jak gdyby nie miano pewności, że zarządzenie wykonane zostanie i zrozumiane należycie przez wszystkich, dodano do niego dla smaku jeszcze kilka słów groźby: ci, którzy je przekroczą, narażają się nie tylko na potępienie ze strony świadomych swego obowiązku obywateli, ale także na karę.

Nie było obawy, aby u Schnablów ktokolwiek myślał o przekroczeniu tego rozkazu. Ustąpiono jednak naleganiom Wandy, aby komórkę, w której mieszkał Stasiek oddać tego dnia Polakom, którzy się tam zejdą i przy choince odśpiewać pragną kolędy. Niech im będzie. U innych chłopów nie ma miejsca na takie zebrania.

Więc teraz i Stasiek i Wanda przejęci są przygotowaniem uroczystości. Wybrakowaną choinkę, którą im jako dowód wspaniałomyślności dał Schnabel, uważali za niezbyt piękną — poszli do lasu sami i wycięli sobie lepszą. Co to było krzyku i hałasu o to drzewko. Jakie oburzenie Schnablowej na wymagania tych prostaków, którzy przed rokiem w łachmanach tu przyszli i z łaski przyjęci zostali do pracy, a którym teraz się zdaje, że jacyś lepsi. Choinka jednak już stała w komórce Staśka, przyozdabiana przez dziewczyny, które schodziły się wieczorami i każda z jakimś nowym świecidełkiem, żeby było tak jak w domu, w Polsce. I nie gorzej niż u Niemców. Pokupywali do jedzenia co tylko można było dostać, nawet wina. Zastaw się, a postaw się.

Robota tego dnia była tylko do południa. Po obiedzie robienie porządków, oprzątanie bydła i koni. Schnable mieli swoją wigilię w przygotowywanym na ten cel salonie. Gromadziły się tam od paru dni prezenty dla dzieci, ale Wanda, która zajrzała do środka była zdania, że choinkę mają brzydką. Że ich polska naprawdę ładniejsza.

Dzień schodził Polakom na rozpamiętywaniu podobnych dni w latach poprzednich. Kąpali się, nosząc wiadra z gorącą wodą do obory. Koleżanki jakieś zrobiły Wandzie już wczoraj "fryzurę," wyglądała jakby jej kto nałożył perukę. Stasiek nie chciał wyglądać nieuczesany przy niej, zastałem go z drutem od parasola, jak sobie nim kręcił loki w gęstej czuprynie, siedząc przed lustrem, niezbyt zadowolony, że go przydybałem przy tym zajęciu.

Wieczór zapadał szybkim zmierzchem. Polacy poprosili mnie, francuskiego jeńca, abym przed przyjściem *wachmana* zaszedł do komórki Staśka, gdzie już się mieli także zejść inni. Poszedłem tam — byli rozgorączkowani bliskością oczekiwanej chwili. Wanda, mimo swego kunsztownego uczesania miała wygląd osoby całkiem niezrównoważonej. Była sztuczna i nieswoja, miała wypieki na policzkach i czerwone oczy. Z wylewnością i brakiem opanowania, leżącym w jej charakterze życzyła "Wesołych Świąt" gospodarzowi i gospodyni, którzy robili wrażenie zażenowanych tym nagłym wybuchem serdeczności i dowodami większego, niż należało, przejmowania się świętem. Siedzieli potem przez chwilę sztywni i milczący, rozmyślając skrycie nad innością tych ludzi i może nawet nad krzywdą, jaką było dla nich odmówienie prawa urlopu, niweczące dawno żywione plany powrotu do domu, marzenia o świętach w Polsce.

Wypiliśmy u Staśka jedną i drugą kolejkę. Częstowali mnie wszyscy i Magda i Felka i Wacek na przemian, z ujmującą gościnnością i gestem. Na stole pięknie nakrytym obrusem stało jadła i napojów więcej, niżbym przypuszczał. Zakrzątnęli się zgodnie około tych przygotowań, każdy coś przyniósł dobrego. Efekt był imponujący. Zakłopotał nawet Niemców: jacy ci Polacy przedsiębiorczy, jacy zapobiegliwi.

Wanda wyjęła z listu otrzymanego od matki opłatek i poczęła się nim łamać z wszystkimi, coraz to wycierając oczy wierzchem ręki. Podeszła także do mnie, chociaż ja niby obcy, inny człowiek. Wezbrało w niej tyle czułości, że z tego ściskania się na lewo i prawo z wszystkimi i ja się dostałem w krąg tych obejmowań i anim się spodział, jak się pocałowałem z Wandą i z nimi wszystkimi.

Stasiek nawet po paru kieliszkach wyszedł ze zwykłej sobie rezerwy i krytyczności i mówił o mnie innym, że Francuz dobry chłop wszystkiego razem. Wanda też zdawało się zapomniała, że mnie nie lubi, wzięła mnie pod rękę, żeby pokazać święte obrazki z Polski i wycinanki, robione przez polskie dziewczyny i ozdóbki choinkowe, wcale przystojne. Zaśpiewali potem kolędy: "W żłobie leży" i "Lulajże Jezuniu" i jeszcze inne, mniej znane. Słuchałem ich z tym samym uczuciem, z jakim spotyka się dawnych, drogich przyjaciół, a może minioną miłość, nie mając tylko prawa pokazać już, że to spotkanie porusza w człowieku serce, że odnawia uśpione uczucia.

Ale potem zaczęto nalegać, abym ich dla odmiany poczęstował kolędą — francuską. Muszę przynać, że wśród wielu przewidzianych i przygotowanych "numerów," jakie miały w razie niebezpieczeństwa czy podejrzeń, krążących i grożących stale, dać mi *alibi* i udowodnić bez zastrzeżeń, że jestem tym Francuzem, za którego się tutaj podaję, nie pomyślałem o tym, aby w repertuar swoich umiejętności wciągnąć także kolędy. Umiałem na pamięć przede wszystkim własną swoją wymyśloną historię rodzinną i wojskową, doprowadzoną do doskonałości i przemyślaną we wszystkich szczegółach nazwisk, dat, miejscowości. To samo jeśli idzie o żonę. Doświadczenia rozmów w pierwszych miesiącach i pytań, jakie padały w tych rozmowach pozwoliły na rozbudowanie tej wątłej konstrukcji i roli zarówno wszerz jak i w głąb—nie obawiałem się już zaskoczenia, potrafiłem przewidzieć niejedno podchwytliwe pytanie i przygotować na nie odpowiedź szybką, sprawną i odgradzającą od niebezpieczeństw zdrady. Moje drugie życie od niejakiego czasu przebiło się na powierzchnię, wyparło to pierwsze, to autentyczne pod powłokę swojej nowej skóry, coraz bardziej odpornej na zetknięcie z brutalną ciekawością otoczenia. Wrastałem, nieprzywykły, a jednak przystosowany, w to nieswoje, udawane życie.

Ale o kolędach nie pomyślałem. Nauczyłem się pacierza, to bardzo ważne móc powiedzieć n.p. "Ojcze Nasz" w języku podawanym jako macierzysty. Bardzo ważne móc zaśpiewać "Marsyliankę." Móc odpowiedzieć bez wahania na szereg pytań, dotyczących n.p. szkoły. Pamiętam, jak kiedyś Schnabel, lubiący wykazywać się erudycją na tematy francuskie, zdobytą jeszcze w czasie wojny, zagadał mnie o czwartki, będące w szkołach francuskich dniami wolnymi od nauk. Nieuważny i nie pamiętający o istnieniu tego zwyczaju, który jest wynikiem rozdziału kościoła od państwa i daje dzieciom teoretycznie jeden dzień wolny w tygodniu na kształcenie się w sprawach religii, szkoły bowiem tego przedmiotu nie uczą, zaprzeczyłem dość silnie, a spostrzegłszy zdziwienie Schnabla, powiedziałem wymijająco, że to wprawdzie było kiedyś, ale już nie jest. Trzeba się było wykręcić stwierdzeniem, że chodziłem do szkoły Jezuitów czy Dominikanów, których te obyczaje publicznych, świeckich szkół nie obowiązują. Ale ledwo wybrnąłem. Zresztą tłumaczyła mnie trochę długa nieobecność i rzekome chodzenie do szkoły także w Szanghaju.

Nic jednak nie potrafiło by w tej chwili usprawiedliwić nieznajomości kolęd narodowych w oczach tych przywiązanych do swojej tradycji Polaków, kiedy nalegają na mnie, abym koniecznie zaśpiewał kolędę francuską. Ratuje mnie w pewnym stopniu wypicie tych kilku kieliszków alkoholu, jakimi szczodrze częstują "Francuza" Polacy. Decyduję się pod ich wpływem na zrobienie im tej przyjemności, a że nie umiem żadnej kolędy, bo nawet melodia "*Minuit, Chrétiens*" uszła mi z głowy, a słów nigdy nie pamiętałem, muszę wybrać jakąkolwiek piosenkę z lżejszego repertuaru i tę im zaaplikować. Waham się między "*J'ai deux amours*" albo "*Je me sens dans tes bras si petite,*" ale decyduję się na tę drugą, kołysankową nieco, odpowiednik, myślę sobie w duchu, do "Lulajże Jezuniu." I tak poszło, bez zająknień i zahaczeń, a przyjęte zostało triumfalnie.

—To także chrześcijański naród, te Francuzy — mówiła Magda do Wandy po wysłuchaniu mego śpiewaczego popisu. — Dobre są ludzie, nie można powiedzieć — dodała, wspominając namiętne zalecanki Maurice'a i mieszając pod wpływem wina religijność narodu z właściwościami samczymi jego przedstawicieli, skłonna oba przymioty poczytać Francji za cnotę.

Wołanie *wachmana* wyrwało mnie z otoczenia, które bliskością i mocą uczuciowych skojarzeń z Ojczyzną działało samo, jak alkohol. Nikt z zewnątrz nie podejrzywał, aby w egzotyce tego środowiska kryły się dla mnie uroki przeżyć bardzo osobistych, poruszeń niezmiernie istotnych, wyzwalających uśpione uczucia najgłębszych związków z krajem rodzinnym. *Wachman* w dobrym humorze dzisiaj, po paru poczęstunkach u chłopów podchwycił tę nutę nastroju, jaki nurtował moje myśli, ale przeniósł go od razu na inną płaszczyznę:

—Dziwki dobre, *nit' wohr*? Mielibyście ochotę zabawić się, co? Rozumiem, dobrze rozumiem, że każdego jeńca do nich ciągnie . . . — I mruga porozumiewawczo, nieświadom dystansu między jego słowami a moją myślą.

—Cóż chcecie, ja też tak jak jeniec, wolałbym dzisiaj być z żoną, ale muszę być tu. No nic. I to minie. Wojna się skończy, wróci każdy do swego.

—Byle to były ostatnie święta spędzone w taki sposób — mówię, aby podtrzymać rozmowę i ułatwić utwierdzenie się w nim tego, niby ludzkiego stosunku do naszych spraw, bo będzie nam wszystkim potrzebne jeszcze tego wieczora przymknięcie jego oczu na niejedno. Ale już czuję, że jest nastawiony liberalniej, niż kiedykolwiek.

—Dla was, jakby nie było, wojna jest skończona. Parę miesięcy niewoli i do domu. Dla nas . . . — Po raz pierwszy wyczuwam sceptycyzm w jego głosie. — Dla nas odpowiedzialność jest ciężka — powiada.— Życie nudne. Zarabiamy markę dziennie. Gospodarstwo prowadzi żona także z jeńcem, ale to nie to samo, co gospodarz. . . . A poza tym każdemu grozi jeszcze front.

—Front? Przeciw komu? — udawałem niezgorzej zdziwienie.

—Przeciw Anglii i reszcie świata. Bo tym razem trzeba podbić resztę świata. Chyba, że sami ustąpią — powiedział z pewnym niedowierzaniem i zastanawiającym brakiem entuzjazmu.

Siedliśmy przy wspólnym stole, nas dziesięciu i *wachman* na jedenastego. Picia i jedzenia było wbród. Paczkowe zapasy uzupełnione rezerwami zdobytymi u chłopów, a przyrządzone przez Joseph'a w asyście dwóch kolegów składały się na menu wcale pokaźne. Obiecywaliśmy sobie świętować stylem francuskim całą noc.

Rozmowy od początku dotyczyły już tylko wspomnień, już tylko rodzinnych okoliczności. Dla mnie, zżytego z moimi Francuzami, raz jeszcze objawiał się tutaj ich wzruszający, głęboki rodzinny instynkt. Nie zna ich, kto tego nie wie, kto tego nie przeżył, kto nie zobaczył. Ci mężowie ukochanych żon, ci wierni przyjaciele kochanek, ci najczulsi ojcowie zostawionych w domu dzieci, ci dobrzy synowie ukochanych rodziców, licytowali się teraz opowiadaniem o swoim życiu rodzinnym, o tym ciasnym czasami, ale prawdziwym szczęściu, jakiego kosztowali na swoich zapadłych wsiach, w małych miasteczkach, w tej czy innej dzielnicy Paryża, a każdy obraz wnętrza i mieszkania urastał w barwnych i ciepłych słowach i w blasku oczu wzruszonych, jakimi zapatrywali się coraz głębiej w tę przejmującą przeszłość, do wymiaru ojczyzny nieporównanej, najpiękniejszej na świecie.

Pokazywali sobie nawzajem widziane już tyle razy fotografie najmilszych sercu, niezawsze piękne, ani udane, a otoczone tak wielką czułością, jakby to był największy posiadany skarb. Główki dzieci rozświetlały ojcom oczy i serce — obecność ich na zdjęciach, noszonych w portfelu, na piersi, albo ustawionych na półce przy łóżku, była jak sygnał, że warto czekać i męczyć się nawet tym życiem bez sensu, skoro tęsknota nie płynie w próżnię. Bo mimo klęski będzie dla czego żyć — po powrocie. Powrót — to słowo, ta myśl, to uczucie nabiera znowu barwy zjawisk z tysiąca i jednej nocy, czaru bajki, ale także snu, na którego spełnienie trzeba czekać końca koszmaru. Tylko, że nic nie zwiastuje tutaj możliwości jakiegokolwiek ze spełnień. Czekamy jednak, nie zniechęceni czekaniem. A dzień i wieczór dzisiejszy jest etapem jedynie i jakby punktem oparcia w jego obszarach bez granic.

Widzę siebie na marginesie tego rodzinnego święta. Jestem z nimi, a jednak obok nich, cząstką tylko obecny, ciałem i jedną połową duszy. Druga zanurzona jest w mroku. Słucham, jak opowiadają sobie o zeszłorocznej wigilii, spędzonej na linii Maginot, albo w kwaterach alzackich czy lotaryńskich — już w wojnie. A przecież żyli wówczas życiem jeszcze beztroskim, w którym nadzieja była zbyteczna, bo było zamiast potrzeb nadziei poczucie bezpieczeństwa i pewności siebie, a nie złudzeń, ani niepokojów o koniec owej "zabawnej wojny." My Polacy żyliśmy właśnie już tylko złudzeniem i niepokojem.

Tak, moje święto ówczesne było odmienne od tamtych, tak jak dzisiejsze jest inne. Już naznaczone od głębi troską, żałobą, trwogą o przyszłość, chociaż wyrazy życzeń szły wszystkie w kierunku Ojczyzny, Warszawy, wsi i zawierały zapewnienia, ba, pewność zwycięstwa szybkiego—za rok, na pewno za rok. Rok minął. Gdzie jestem? Przedłużyła się droga, wówczas zaczęta, w nieskończoność, odsunięto na niej cel i metę. Nie ma ratunku ni rady.

Widzę żołnierską wigilię w Coëtquidan. Prezydent i Wódz Naczelny, przy wspólnym stole. Choinka. Kolędy, śpiewane chórem. A na koniec jako atrakcja, nasza z Jasiem Rembielińskim szopka, grana przez żołnierzy — barwni trzej króle, Herod, śmierć, diabeł. Swego rodzaju ostatnia wieczerza. Rozwiało się jej wspomnienie, jak rzeczywistość, która była dla nas namacalna, jak wiara, która się odradzała. W zamian nie mamy nic. Ten stół prosty, tych kilku ludzi skupionych nieszczęściem. Reszta nie istnieje w ogóle w obrębie ludzkiego zasięgu. Tak jak ja nie istnieję, ani nazwiskiem, ani wieścią nawet, któraby dotrzeć mogła do najbliższych, do rodziny mojej, nieświadomej losu brata i syna.

Wachman poszedł sobie, zamknął nas, jesteśmy między sobą. Odcięci jeszcze zupełniej od reszty świata, jeszcze bezwzględniej sami. Wino wypite krąży szumem podwodnych światów w odwykłej od alkoholu głowie. Zjedliśmy za dużo. Był zamiar święcenia tej nocy do rana, a tu pierwsza jeszcze nie dochodzi, gdy jeden po drugim zmożony, znużony, wyczerpany nadmiarem użycia, wycofuje się już w świat własnych, rozpędzonych krwią w skroniach myśli i wraca do własnych łóżek.

W pozycji leżącej, z głową kulającą się bezwładnie na poduszce, kiedy w oczach zamazuje się kształt zewnętrzności, a w sercu pogłębia opuszczenie i lęk przed jutrem, tak samo nieznośnym jak wczoraj, widzę, już zasypiając, jeden jeszcze obraz. Ten obraz określa odległość rozpiętością jednego roku. Jest obrazem zeszłorocznej Pasterki. Otwiera się jak w filmie na wnętrze kościoła w Bretanii, w Paimpont, pełnego ludzi i świateł, kościoła zanurzonego w noc. Mury tchną wielką dawnością, wymoszczoną fałdami mroku. Najwyższy urok tego nabożeństwa to noc właśnie i ta okoliczność, że wykrojone jest, jak świetna scena z głębokich murów ciemności. Skupienie świateł każdej nocnej mszy silniej przemawia do serca i wyobraźni, nierozproszonej interwencją dnia. Uroczystości kościelne powinny wszystkie mieć tę przestrzenną kurtynę czarnego aksamitu, odcinającą od nich resztę świata. Tak jak w tej chwili.

Rozsadza nawę od środka tylko jarzenie się świec. Ludzie klęczą. Jest nas cała grupa oficerów i żołnierzy polskich pomiędzy gęstym tłumem bretońskich wieśniaków, wypełniających kościół. Chóry. Ślizgające się aż po sklepienie światła i blaski, co zdają się drgać od głosu i oddechu ludzi. Lśni złotem, srebrem i bielą wielki ołtarz. Płyną szepty żarliwych modlitw. Podnieśliśmy się wszyscy na ewangelię. Klęczy tylko jeden młody oficer, zanurzony we własnych myślach i skupieniem ich nieobecny, nieświadomy przebiegu mszy. Klęczy z czołem głęboko wspartym w otwarte dłonie. Nie chce wstać. Nikt twarzy jego nie widzi. Tylko głowę schyloną, o gęstej, odrzuconej z nad czoła czuprynie i smukłe, strome plecy. Ale tego, co tai pochyleniem i tą twarzą zanurzoną w rękach, nikt ukryć nie potrafi. Wiemy przecież, że płacze. Że się już nie potrafi opanować, że go roznosi szloch, że go zalało nagle wstrzymywane od nie wiem kiedy wzruszenie żalu. I wypowiada się w nim jednym za nas wszystkich. Od nie wiem kiedy — od wyjazdu z ojczyzny, w tym roku, który się wkrótce kończy, a w którym zamknęło się za nim światło miłości rodzinnej, słońce uczuć najlepszych, szczęście domu własnego. Owa to klęska zatrzasnęła bramę na wszystkie wielkości i odrzuciła zgubionego w pustkę.

Tą jego pustką, podobną, a przecież szerszą, oddycham właśnie. Jak obecnością wojny, jej grozy i jej skutku, co się szamoce w piersi coraz dotkliwszym uciskiem. Już tam, przed rokiem, niepostrzeżenie zalęgał się, dławił za gardło ucisk bezsilnej trwogi i żalu co nie ma granic na ten widok jednego z naszych, dotkniętego ciężarem klęski. Byliśmy sami wówczas. Dziś już nie jestem sam. Inaczej, a przecież jednako myślą tysiące jeńców. Francja i Polska w dziesiątkach tysięcy serc.

Szarpanina tłumionego szlochu łączy w tej chwili nas wielu siłą, nierozumianą dotychczas. Przeżywamy rozpaczą tęskniącą tę noc, nawiedzoną wspomnieniem, tę najsmutniejszą w życiu noc wigilijną drugiego roku klęski.

ALEKSANDER JANTA

Wigilia pod Gazalą

Święta zapowiadały się ciekawie i wesoło. Nie wiedzieliśmy jeszcze gdzie je spędzimy, czy na wozach w pustyni, czy w Aleksandrii, ale każdy martwił się na swój sposób. August był przekonany, że należy nam się dłuższy odpoczynek i solidne Święta w Palestynie lub co najmniej w Aleksandrii. No a urlop — to już podobno dawno załatwione, dostajemy po dwa tygodnie i wyrównanie, dodatek frontowy za Tobruk. Nie znał jeszcze dokładnie szczegółów, ale pokrywał to logicznym rozumowaniem: " Może się nie należy — co? " — Należy się oczywiście, ale zapominał chłop że jest w wojsku. " W Tobruku byłem pięć miesięcy a ponieważ front się liczy podwójnie albo nawet potrójnie, to razem już blisko dwa lata jestem w pustyni." Dopiero Andrzej wytłumaczył mu, że pomieszał sobie prawo do wysługi emerytalnej z prawem do urlopu.

Ale wszyscy jednak uchwalili, że się należy, tym bardziej, że po niedawnym natarciu i zdobyciu stanowisk pod Gazalą każdy czuł się bohaterem i tylko czekał, jak mu przypną obiecany " Krzyż Walecznych," a może nawet " Virtuti." Odczytana przed frontem oddziałów pochwała i słowa uznania dla Brygady od Dowódcy Armii też zrobiła swoje. Lecz miny nam trochę zrzedły, gdy na zakończenie tego " odczytu " dowiedzieliśmy się, że pobyt w pustyni i w Tobruku zalicza się tylko do wysługi emerytalnej, nie do urlopu i że odpoczynek i Święta będziemy spędzać tutaj, w Gazali. W końcu obiecano nam świąteczną porcję " beefu " i sucharów i nawiasem dodano, że stanowiska mają być gotowe przed wigilią. Żeby to . . .

Od kilku dni krążyły uporczywe pogłoski, że nasza " Warszawa " z Ameryki, od Polonii Amerykańskiej " coś " wiezie dla nas. Chyba nie amunicję. Podobno jest paczka dla każdego, jeden zegarek na pluton i piwo. O zawartościach paczek nie było dokładnych danych, ale że czekolada i list od dziewczynki — to było pewne. Tymczasem zamiast paczek dostaliśmy wiadomość, że " Warszawa " została zatopiona u wejścia do portu w Tobruku. Skurczybyki Niemcy! August, który zakupił " a conto " piwo od wszystkich nie pijących w plutonie klął i płakał.

Trudno, nie będzie piwa na Święta, ale za to jest wino włoskie i koniak, który pomieszany ze zdobycznym wiśniowym sokiem doskonale imitował wiśniówkę. Najwięcej nam zmartwienia przynosił " beef." Wszystkie możliwe kombinacje i połączenia chemiczne z cebulą lub sucharami były wyczerpane i wypróbowane jeszcze w Tobruku. Żadna nie nadawała się na wigilię, a olbrzymie zdobyczne magazyny włoskiej i niemieckiej żywności w Gazali były już pod opieką angielską.

Byliśmy tam jednak pierwsi i porobiliśmy zapasy niczego sobie; ale przydałoby się jeszcze trochę. A o tym co zostało jeszcze w tych magazynach opowiadano sobie bajki, które nie pozwalały spać wszystkim przedsiębiorczym żołnierzom Brygady. Baliśmy się najwięcej tego, aby nasza żandarmeria nie przejęła tych magazynów od Anglików. Nie mielibyśmy wtedy nic. Wiedzieliśmy już dokładnie, gdzie jest kiszona kapusta, w którym magazynie jest czekolada i pomidory. Nad samą zatoką był magazyn z delikatesami. W prawym kącie były kotlety w puszkach, marynowane grzyby, kompoty, soki i suszone ziemniaki, z drugiej strony znów beczki z koniakiem i winem.

Po krótkiej naradzie i decyzji wyruszył patrol w sile piętnastu starych patrolowców na dwóch pustych wozach pod dowództwem starego policjanta z tajnym zadaniem. Oczywiście z moim nieoficjalnym pozwoleniem i błogosławieństwem oraz oficjalnym strachem.

Trudna była sprawa mając teraz ośmiu ludzi w plutonie udawać, że się ma cały pluton. Ale ponieważ miałem w plutonie jeszcze koniak i wino, więc co chwila przychodzili goście i robili wrzask za brakującą resztę. Najgorszą przeprawę miałem z dowódcą kompanii, przekonując go, że wysłałem ludzi i wóz na szukanie opału w pustyni, bo nie ma czym palić. Najweselsze to, że uwierzył.

Przyjechali wreszcie późno wieczór, upojeni powodzeniem i winem. Przywieźli wszystko co było w programie, tylko kapusty było za dużo i dwa worki ciemnej mąki nie wiem po co. — " Na pierogi " — mówił kucharz. Rzeczywiście — kapusta jest, mąka i margaryna też, mogą być pierogi.

Mieliśmy więc pełne dwa auta doskonałego prowiantu i kilkaset litrów wina i koniaku — wystarczy do Wielkanocy.

Przygotowania do wigilii szły pełną parą. W przeddzień wybudowaliśmy już " mykwę " — domek w łożysku sezonowego strumyka, używając jako cegieł skrzyń z włoską amunicją. Wnętrze zostało wybite kocami i ozdobione wycinkami z włoskich gazet i widokówkami. Stół i krzesła także ze skrzynek, z amunicją zamiast tradycyjnego siana. Ciekawe, jak się tu będzie czuło Boże Dzieciątko, przed którym dzisiaj stajemy do przeglądu. Przyjdzie na pewno z Michałkiem i Tadkiem na te stanowiska, przez nich i ich życiem i krwią zdobyte.

Ceremonie zaczęły się już w południe. Pustynia pełna była delegatów z życzeniami. Artyleria jeździła do piechoty i nawzajem, łączność przesyłała swoje życzenia telefonicznie /paskudne wychowanie/. Nie otrzymaliśmy tylko życzeń od saperów, gdyż upili ich tak w pierwszym batalionie, że potem składali życzenia, ale tylko Niemcom — nie pobożne w każdym razie.

Przed namiotem dowódcy Brygady, kompania delegatów składa życzenia generałowi — " Panie Generale w imieniu kompanii trzeciej składam Panu Generałowi życzenia wesołych Świąt " — i tak każdy po kolei. Widać z twarzy życzących, że słowa te nie odzwierciedlają prawdziwej ich głębi i uczucia. Najmłodszy żołnierz, 16-letni bąk, jąkając się, cały czerwony, nie wie, co powiedzieć. Ale widać, że dusza chciałaby mu przez oczy do generała wyskoczyć. Oczy jego mówią wszystko, że chciałby już wrócić do mamy pod dowództwem tego generała, że chciałby opowiadać swoim rówieśnikom, gdzie on to Święta spędzał, jak Niemców bił i na patrole chodził. Czuje podświadomie, że przeżywa wielką chwilę. Nie wie jeszcze, że ta historyczna wigilia jest przeżyciem jedynym, jakie będzie pamiętał całe życie.

Wszyscy słuchają życzeń generała: — " Koledzy! Dziękuję Wam za życzenia, wiem, że nie lubicie mówić o swoich uczuciach i nie lubicie, gdy wam o nich mówią, ale wiem, że wszyscy chcecie wrócić do Polski i dlatego tu jesteście mówiąc nie słowami lecz czynem, że jesteście dobrymi Polakami. Nie jestem dumny, że dowodzę tą Brygadą, ale jestem dumny, że jestem z Wami. Życzę Wam, abyście następne Święta spędzali w kraju. Wesołych Świąt, Koledzy! "

W plutonach tymczasem robiono ostatnie przygotowania do wigilii. Największy kłopot był z choinką. Ale Poldek nie na darmo był stolarzem, jego ziemianka zawsze była obszernym, doskonale umeblowanym salonem. Obecnie z niesłychaną cierpliwością wiercił setki dziurek w grubym kiju namiotowym i wpychał do nich długie pręciki i druty okręcone zieloną pociętą bibułą. Co prawda choinka ta więcej przypominała dużą szczotkę, niż choinkę, ale ozdobiona cukierkami, obrazkami włoskich świętych i różnego kalibru nabojami, robiła dobre wrażenie.

Antek, Jaś i drugi Jaś robili znów pierogi. Zużyli na to dwie beczułki kapusty, pół worka mąki i skrzynię margaryny. Ciasto podobno się udało. Kapusta zapowiadała się wspaniale, a zapas bigosu z niemieckich kotletów powodował ślinkę w ustach każdego kto się przypadkiem znalazł w pobliżu.

August jako największy znawca przedwojennego monopolu spirytusowego zrobił się podkomorzym. Gotował koniak z winem i herbatą, nalewał do butelek i mieszał. Robił tajemniczą minę mówiąc, że będzie koniak z jajkiem. Skąd on wziął jaja? A co najdziwniejsze nie był jeszcze pijany.

Reszta plutonu przygotowywała " fajerwerki." Rozbrajano fantastyczną ilość włoskich min i rakiet, każdy celowniczy miał po kilka tysięcy wybranych świetlnych różnokolorowych pocisków. Zdaje się, że zrobimy festyn. Żandarmeria będzie miała kłopot.

Strasznie miłą niespodziankę sprawił nam ksiądz, przysłał wszystkim opłatki.

No! Wszystko gotowe, każdy wygolony i umyty, czekamy na pierwszą gwiazdę. Szofer Janek powyjmował akumulatory z kilku zepsutych włoskich aut, naładował je i oświetlił nam " mykwę." Żartujemy na temat spodziewanych pierogów i przypominamy sobie słowa kolęd.

Nareszcie pierwsza gwiazda świeci. Wprowadzam dowódcę kompanii do " mykwy," gdzie czeka już na nas cały pluton. Siadamy na skrzyniach. Dowódca zaczyna grzebać w swoim portfelu, wyjmuje z niego maleńki kawałek opłatka i wstaje.

—" Chłopcy! Ten opłatek jest z Polski, przysłała mi go Matka w liście do obozu internowanych dwa lata temu. Chciałem z tym kawałeczkiem wrócić do Polski i ucałować ręce Matki przy wigilii. Mam nadzieję, że ta trzecia wigilia poza domem jest ostatnią spędzoną na Obczyźnie. Stwardnieliśmy, zakosztowaliśmy krwi, prochu, każdy wydaje się szorstki, nieczuły na mowę serca, ale wszyscy myślimy w tej chwili o naszych Matkach, z czułością, której się nie pokazuje i której nikt się nie domyśla. Życzę Wam i sobie, abyśmy na następne Święta mogli ucałować nasze Matki i Siostry."

Wstyd się przyznać, ale niejednemu stanęły łzy w oczach na wspomnienie dawnych Świąt. Siostra i matka przygotowywały wigilię, ojciec robił jakąś własnoręczną wódkę, a ja z bratem wypędzani z kuchni przez siostrę, z pokoju przez matkę — czekaliśmy na pierwszą gwiazdę. A kolędy, które razem potem śpiewaliśmy i prezenty pod choinką! Ciepło było i przytulnie.

Wiem, że myślą teraz w tym momencie o mnie i wiedzą, iż ja myślę o nich. Gdybyż tak myśli mogły się spotykać. Brr. Wracajmy do Libii.

Z opłatkiem w jednej ręce, a z drugą w uścisku kolegi składamy sobie życzenia — w żartobliwych słowach. Prawdziwe życzenia, bez słów składamy sobie jednak rękami, które splecione w mocnym uścisku mówią, żeśmy się zżyli, prawdziwie, po męsku i że obecny tutaj adwokat i kowal z cywila myślą to samo co stolarz — ich drużynowy i inżynier — celowniczy.

Wniesiono pierogi. Kucharz zastrzega z góry, że tylko po sześć na głowę. Dostaję do menażki cztery olbrzymie czarne kluski z jednej strony zaszyte białą nicią — " Dlaczego? " — pytam kucharza — " bo ciasto nie chciało się lepić, panie podchorąży."

Ciasto nie tylko nie chciało się lepić, ale nie można go było wcale jeść! W najlepszym razie nadawało się do żucia albo na oponę do samochodu. Za to kapusta w środku była doskonała. Co do ciasta, to kucharz lojalnie poradził, żeby go nie jeść za dużo. Zupa jednak przywróciła mu zachwianą reputację. Gotowana na samej śmietanie, smakowała wyśmienicie. Po zupie znów bigos i konserwowe kotlety niemieckie, potem czekolada i cukierki, całe góry.

Gdyśmy zaśpiewali pierwszą kolędę, to zdawało się, że słowa " Wśród nocnej ciszy " rozsadzą naszą budę i nasze piersi. Śpiewaliśmy ją coraz głośniej, i potem jeszcze raz, aby zagłuszyć burzę w piersi i aby zmęczyć tęsknotę. Nie można było. Cudowna melodia i miękkie słowa " Lulajże Jezuniu" wycisnęły łzy z kilku par ócz, nikt się ich teraz nie wstydził i nie potępiał. Ja też chciałem zapłakać, ale zdaje się za twardy byłem albo może mniejszą duszę miałem w piersi, albo za dużo fałszywej dumy.

Wyczerpał się repertuar znanych kolęd. Kapitan życząc nam jeszcze raz zachrypniętym od śpiewania głosem: — " Wesołych Świąt, chłopcy " — poszedł sobie. W chwilę potem wyszło kilku tych, co płakało. Nastrój prysł.

W kącie siedział nieruchomo z twarzą w rękach Stach. Jego najlepszy kolega i przyjaciel Tadzik zginął przed kilku dniami w natarciu.

Zaczęliśmy pić! Zagłuszyć ten skowyt w piersi, schować jeszcze raz na samo dno świadomości, zapomnieć — przynajmniej na chwilę. Zaczęliśmy krzyczeć, śpiewać, co tylko do głowy przyszło. Nie pomaga! — " August daj jeszcze wina! "

Z pustyni zaczęły dochodzić odgłosy pojedynczych strzałów. Do " mykwy " wpadł Poldek: — " Chłopcy! Robimy bal murzynów! "

Wyskoczyliśmy pod cudowne gwiaździste niebo i zaczęliśmy strzelać z czego kto miał. Z " Brena," ze zdobycznej " Bredy," z Kb., z pistoletów. Włoskimi granatami rzucaliśmy w jar, po dwadzieścia na raz, na komendę lub osobno. Z rejonu artylerii rozległo się kilka detonacji z działa. Mój pluton zaczął strzelać z kombinacji dwóch erkaemów literę " V " w niebo świetlnymi pociskami. Cudownie to wyglądało. Śmiercionośne białe lub czerwone gwiazdki leciały w górę jedna za drugą i ginęły między prawdziwymi gwiazdami. Za kilka minut cała pustynia wokoło strzelała " V " w niebo. Najlepiej to jednak wychodziło plutonowi OPL. Artyleria pozazdrościła nam widocznie tego wyczynu, gdyż w pewnej chwili zaczęli strzelać z dwóch armat w niebo, ale tylko płomienie z lufy pokazywały " V " na moment. Nie mieli " bidaki " świetlnej amunicji. Serdeczniesmy im współczuli.

Z Dowództwa Brygady cała armia gońców i żandarmerii na motocyklach wyjechała z rozkazami zaprzestania strzelania. Łączność chwilowo nie działała. Pomału wszystko ucichło.

Jednak strzelanie pomogło. Przeżywaliśmy podnieceni niedawny " festyn," myśląc ze strachem — co będzie jutro? Nic nie było. Zdaje się, że nasz Dowódca też strzelał.

Na pasterce prócz służb i zalanych całkowicie byliśmy wszyscy. Zaczęła się tak jak w Polsce, punktualnie o północy. Słowa potężnej majestatycznej kolędy " Bóg się rodzi " popłynęły w pustynię i w niebo. Jakiś dziwny spokój i ufność zdawała się przynosić zmęczonym sercom i myślom żołnierzy, a gdy śpiewaliśmy " Podnieś rękę Boże Dziecię i błogosław . . . " czuliśmy, że nam błogosławi i szepce ciche słowa otuchy i nadziei . . .

Gazala 26.XII.41.

JAN NIEWAŻNY

KOLĘDA 1943

Gienkowi B.

Jak co roku w gościnnej, choć lichej stajence
Mały Jezus na polskiej ziemi się narodził.
Piąstką przetarł powieki i wyciągnął ręce,
Ale nikt Go nie witał w znajomej zagrodzie.

Noc jak zawsze płonęła miliardem kaganków
Zapalonych na niebie przez huf archaniołów
I jak zawsze śnieg leżał przed wejściem na ganku,
A z okapu zwisały sople kryształowe.

Jak co roku zabłysła betlejemska gwiazda —
Na iskrzącym rozdrożu radosny drogowskaz.
I już wielka wieść poszła od miasta do miasta —
Czeka Józef staruszek, czeka Matka Boska.

Już tam Bartek na pewno zawołał: "Hej, Szymon,
Czy to niebo goreje, czy to we wsi pożar?! "
Szymon spojrzał, zrozumiał w ten mróz, w taką zimę:
" Lećmy watrę rozpalić, by Mały się ogrzał."

Zaraz będą. Przyniosą chrustu, futer, chleba.
Potem ludzie się zejdą gromadą, bez liku.
O, zobaczysz, Jezuniu, niczego tu nie brak,
Ani serc, ni wesela, a nawet muzyki.

Poznasz Szopkę Krakowską. W barwnym korowodzie
Skoczy Góral do tańca, Ułan — piękny młokos,
Żyd z Cyganem i Szlachcic Twardowski — czarodziej,
Diabeł — kamrat Heroda, a z tyłu śmierć z kosą.

Zaśpiewają, zatańczą z niezmiernej uciechy.
Serca proste jak z chleba czarnego opłatek.
Tutaj złotem najszczerszym pokrywają strzechy
— I otworem dla Ciebie stoją wszystkie chaty.

— — — — — — — —

Mały Jezus z ufnością patrzy, jak przez szpary
Świeci gwiazda radosna — płomienny drogowskaz.
Zaraz ludzie nadejdą — czeka Józef stary
I całując Dziecinę czeka Matka Boska.

Idą! Idą! Śnieg skrzypi. Wielkie skrzydeł cienie.
Już się Anioł pojawił i — zachwiał się w progu;
A pod niebem zamarło archaniołów pienie
— I tak cicho się stało, jak przed przyjściem Boga.

Nie nadbiegnie już Szymon i nie skoczy Bartek
Owiec oddać nie chcieli, gdy zabierał Niemiec.
Dawno wiatr rozwiał popiół ich pastuszej watry.
Ze wsi też nikt nie przyjdzie, bo już wsi tej nie ma.

Ułan wrogom nie sprostał. Ciężkie gąsienice
Rozmiażdżyły junaka, wraz z szablą i koniem.

Góral zbiegom otwierał zieloną granicę
I pozostał, gdzie trawa od krwi młodej płonie.

Powieszono Cygana, gdy wzięty do pracy,
Uciekając z obozu pchnął Niemca bagnetem.
Twardowskiego złapano w tajnej radiostacji.
Żyda gdzieś zamęczono za murami Ghetta.

Herod nie był Polakiem — wstąpił do Gestapo.
Diabeł wyrzekł się jego i wrócił do lasu.
Tylko Śmierć pozostała /od niej jest ten raport/
— A więc nikt tu nie przyjdzie, bo Śmierć nie ma czasu.

Nawet gwiazdę ktoś z nieba zdjął, poniósł przed sobą.
Zaszamotał się wicher w oślepłej zamieci.
I tak smutno się stało wśród ruin i grobów,
że aż Bóg się rozpłakał łzami polskich dzieci.

— — — — — — — —

Nie płaczże mi Dzieciątko, nie smuć się Jezuniu —
To nie Szwab i nie złodziej niebo ogołocił.
Chłopcy — chór kolędników Twoją gwiazdę uniósł,
Aby ukryć przed wrogiem, żeś nam się narodził.

Idą chłopcy z kolędą, z gwiazdą betlejemską,
Przez sto krajów i granic, przez morza i góry.
Los pod nogi im rzuca zwycięstwa i klęski
W długich marszach wytrwania i w ataku furii.

To z uśmiechem nadziei, to ze zmarszczką smutku,
To na wozie, pod wozem, zbrojnie i bez broni.
A gdzie przyjdą, tam słońce gra im na pobudkę,
A gdzie przejdą, tam krzyże pozostają po nich.

Idą chłopcy z kolędą, chrzęści lód Syberii,
Wydma piaskiem przepala odparzone stopy.
Upór każdą przeszkodę przeżre jak iperyt,
Chociaż mróz nożem kraje, chociaż świat w ukropie.

Aż powrócą — i znowu w barwnym korowodzie
Skoczy Góral do tańca, Ułan — piękny młokos,
Żyd z Cyganem i Szlachcic Twardowski — czarodziej,
Diabeł w krasnym kaftanie, a z tyłu Śmierć z kosą.

Gwiazda blaskiem obiegnie hełm — żelazny wieniec.
Śmigło lśniące rozpyli drogę przed pilotem —
I rycerze opadną na złotych promieniach
Ku tej ziemi, gdzie Jezus szlochał jak sierota.

Znów na niebie zapalą betlejemski płomień —
Huknie Bogu na chwałę radosna kolęda.
Mały Jezus wesoło będzie klaskał w dłonie:
— A że kiedyś zapłakał — zostanie legendą.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI



napisał
WIKTOR BUDZYŃSKI
rysował
ANTONI WASILEWSKI

POSTACIE:
Pan Twardowski
Pasterz
Trzej Królowie
Wanda
Dr. Jóź-Wiak
Majster Strońszczak
G-Rydz
X-afery
Maria Kluczewiczowa
Stanisław Mat-Kluczkiewicz
Zaspeusz Tenorowicz
Wycinkalski
Lotnik

W chwili podniesienia kurtyny w Trzeciej Szopce na scenie panuje blackout, nieprzeniknione ciemności. Kukły chodzą na palcach i boją się własnego cienia. Ze wschodniej strony sceny bije niedyskretnie czerwone światło, które jednak jej nie rozświetla. Kurtyna jest odsłonięta, ale właściwie widownia niczego nie widzi . . . .

Za kulisami słychać bijące gdzieś mocno działa artylerii przeciwlotniczej. Przez górny otwór sceny wpada ni to pocisk ni to meteor: błyszcząca kolorowa masa, która przy zetknięciu z ziemią, nabiera ludzkich kształtów, wstaje, prostuje się . . . Tak, to ktoś dobrze nam znany z polskiej baśni: Imć Twardowski we własnej osobie.

Twardowski
/jęcząc zbiera z ziemi: karabelę, tabakierę, kołpak/:
Oj, oj stłukłem tęgo zad.
Ratuj! Do mnie! Jest tam który?
Hejże! Hola! Gdziem ja wpadł?
Zali w piekło? W czarcią dziurę? /cisza/
Do stu katów! Hej, do diaska!
Służba! Czeladź! Do mnie! Bywaj!
Waćpanowie, jeśli łaska
Jest tu jakaś dusza żywa?

/W jednym kącie sceny z małym kagankiem w ręce ukazuje się Pasterz, jak w każdej tradycyjnej szopce/

Pasterz
/oglądając z zaciekawieniem marsową postać, karabelę i wysokie buty/:
Pan Pułkownik na odkomenderowaniu?
Do ministerstwa? Czy reorganizacja?
Roczny urlop? Na studiowaniu?
Zmiana szatek — słowem "cywilizacja"?

Twardowski:
Waćpan jest w tytułach hojny.
Jam nie ranga. Jam nie wiele . . .

Pasterz:
Ta skromność. Ach . . .
Pułkownik czasu wojny.
Wiem, wiem! Ten strzelec.

Twardowski:
Nie pułkownik, nie kapitan,
Żaden militarny tytan,
I nie strzelec, nie na kursie
I nie w sztabie . . .

Pasterz:
W takim razie: major Grabiec!

Twardowski:
Grabiec? major? Nie słyszałem.
Grabca z "Balladyny" znałem.

Pasterz:
I kłopotów nie znasz naszych.

Twardowski:
Gdzie ja jestem,
Powiedz Wasze.

Pasterz:
W szopce wielkiej
W miejscu znanym.

Twardowski:
Widzę, władasz tu Mospanie.
Schroń więc Waćpan mnie, szlachcica.

Pasterz:
"Szlachcic" . . . "Wasze" . . . to gadanie
Skąd ty jesteś?

Twardowski:
Ja? Z księżyca!
Nad Londynem artyleria
Tak się dziś rozzuchwaliła,
Że jedna "p-lot" bateria
Z księżyca mnie zestrzeliła.

Pasterz
/poznał/:
Pan Twardowski!

Twardowski:
"Jedzą piją lulki palą
Tańce, hulanka, swawola
Mało karczmy nie rozwalą . . ."

Pasterz:
Ciężka emigracyjna dola.
Myślisz o "Hungarii," "Prunierze" czy "Ritzu"?

Twardowski:
Nazwy obce na księżycu
To jest bajka Mickiewicza.

Pasterz
/drgnął/:
Ach Mackiewicz? Naturalnie!
A pan szlachcic jest z szlachcica —
Już pan wpadł i to fatalnie.
Konserwą się pan zachwyca!

Twardowski:
Zasypujesz mnie słowami,
Polityka waści w głowie.

Pasterz:
A możebyś tak poszedł z nami
Do jedności narodowej?

Twardowski:
Ale jakże? Nie-ludowy
Szlachcic będę pasterzowy?

Pasterz:
Widać, żeś z księżyca, bracie,
Jak chcesz tych porządków szukać.
Narodowców naszych znacie?
Tam się wyznać — to jest sztuka.

Twardowski:
Ej, nie umiem. To epoka dziwnych związków,
Niespodzianki tu co krok.

Pasterz:
Prędzej kumie. Skryj się w mrok!
/Światłość bije od wschodniej strony/

Twardowski:
Co się stało waćpanowi?

Pasterz:
Ciszej, cicho! Trzej królowie!
/Pasterz pisze na drzwiach Szopki:
K M B/

/Zjawiają się trzej królowie: Jeden z puszką spamu, jeden z cygarem i jeden z mieczem. Pasterz i Twardowski ukryci szepcą w kącie/

Pasterz:
Przyjechali . . .

Twardowski:
Kasper, Melchior i Baltazar
Dziw, jak to się pozmieniali
Ten w mundurze kolejarza . . .

Pasterz:
Ciszej kumie, to obraza . . .

Twardowski:
Skąd jadą? Wiadomo waćpanu?

Pasterz:
Oj ty kumotrze z księżyca;
Z Teheranu, z Teheranu.

Twardowski:
Z Teheranu? Znam potrosze,
Persja. Tak, czarowny świat,
Perskie oko, perski proszek,
Perski szach —

Pasterz:
Czy perski . . . mat?
/Trzej królowie płyną jak w legendzie przez scenę/

Melchior
/przez zęby i cygaro/:
Baltazar, The Great!

Baltazar
/pobrzękując mieczem/:
My fighting friend!

Kasper
/ofiarując Baltazarowi puszkę/:
I will send you spam.

/Gdy przeszedł orszak królewski, jakiś cień odrywa się od Baltazara i stąpa jego śladami. Jest to postać kobieca w rubaszce, przepasana rzemiennym pasem/



Pasterz:
Od tej postaci jakieś złe wionie,
Trzeba zrobić alarm w Strattonie
/wybiega/

Twardowski
/stanął twarzą w twarz z Wandą/:
Fantastycznych spotkań czas
Ekscentrycznych zjazdów era . . .

Wanda:
Ot, z "Płomyczka" znam ja was,
Towarzysza, kawalera.

Twardowski:
Ja z księżyca pan Twardowski,
Szlachcic z dziada i pradziada,
A waćpani?

Wanda:
Landlordowski
Porzuć tytuł. Moja rada.
Towarzyszko, towarzyszu,
Towarzyszce mów towarzysz.

Twardowski
/krzywiąc się/:
Uszy razi. Któż to słyszał?
Białogłowie rzec, jak każesz.

Wanda:
Polski landlord, już krytyka.
Towarzysz się rozzuchwala.

Twardowski:
Ktoś ty?

Wanda:
W stopniu pułkownika
Wanda, co chciała Moskala.

Twardowski:
Głośna sprawa. Już słyszałem.
"Patriotów" przewodniczka.
Ja raz duszę też sprzedałem . . .
Komu? Pewnie wiesz z "Płomyczka,"
Mój cyrograf był baśniowy,
A kontrahent nie chciał Lwowa.
Twój cyrograf Kainowy . . .

Wanda:
Tak ja posłać cię gotowa
Pod stienku. Albo . . .

Twardowski:
Albo? Mów. Co?

Wanda:
Możesz zostać dowódcą
Pięknego oddziału mojej armii nowej:
"Kirasjerów imienia Korniejczukowej"

Twardowski:
Dowódca kirasjerów?

Wanda:
Nie gardź tą karierą.
Ot mundury złocone,
Wchodzą w modę galony.
Możesz dostać i kilka orderów.

Twardowski
/przymknął oczy/:
Ordery, ordery
I tyle kolorów . . .

Wanda:
Czy towarzysz się lęka?
Bądź szczery.

Twardowski:
Do wyboru:
Ordery lub "stienka"?

Wanda:
A może towarzysz woli
Dowództwo "Czerwonych Huzarów
Imienia księcia Pepi?"

Twardowski:
Waćpani pozwoli . . .
Książę Pepi i wy?
To z innego fachu.

Wanda:
Ten sam. Ja wiem lepiej
Bo towarzysz Pepi pracował "Pod Blachą."
Charaszo. Był z branży blacharzy.

Twardowski:
Mościa pani. O czemże ty marzysz?
Przeróbka historii? Życiorysów zmiany?

Wanda
/sucho, ostro/:
Stienka, czy władza?
Towarzysz zdecydowany?
Pośpiech doradzam.

Twardowski:
Szlachcic jestem, karabela w ręku . . .

Wanda:
Obejmiesz dowództwo?

Twardowski:
Prowadź.

Wanda:
Dokąd?

Twardowski:
Pod stienku!

/Zdążają do wyjścia, ale Twardowski z przyzwyczajenia płynie wysoko nad Wandą i siada na belce pod dachem Szopki. Wanda czerwona z przekonania i irytacji wybiega na Północ. Twardowski siedząc w tak wygodnym miejscu ma możliwość obserwacji dalszych scen, które rozgrywać się będą w Szopce. Do Szopki wchodzi w todze z wielką tubą dyplomów w ręku Dr. Jóź-Wiak/

Dr. Jóź-Wiak
/śpiewa na nutę "Umarł Maciek"/:
Umarł Maciek, umarł,
Wszystko przez dyplomy,
Wszystko przez doktory
I przez astronomy,
Przez magistry, profesory,
Inżyniery, dyrektory.
Oj, dana, moja dana,
Gospodo kochana.
Umarł dyplom, umarł
Na to nie ma rady.
Trza zamiast dyplomów
Wydawać obiady,
Bo jest grosz i spokój w domu,
Gdy pan domu bez dyplomu.
Oj dany, moje dany,
Barszczyk zabielany.

/Wyciąga z rury gorący dyplom, przyrządza w sosie z Hemara, po czym wywiesza w oknie Szopki kartkę: "Dziś dyplomiki gospodarskie à la Fourchette czyli kołtunki po polsku"/

/Do Szopki wszedł Majster Strońszczak, człowiek roboczy, w kombinezonie mechanika, ze śrubsztakiem w ręce/



Majster Strońszczak:
Ach, Doktorze Jóź-Wiaku,
Mądrość świata w śrubsztaku,
Nie w obiadach, w dyplomach, w kulturze.
W maszynowni, kotłowni, czy w fizycznej mordowni
A nie w propagandzie czy w biurze.
Nie umiałem, mój luby,
Tak przykręcić im śruby,
Tam w Strattonie, gdy byłem pół-bogiem,
Ale teraz, o głupcy,
Śrubkę wkręcam po śrubce,
Bom jest majster, li tylko, ubogi.
Gdym minister — tom nic ja,
Bo jedyna pozycja
Dla mnie tylko to być w opozycji,
Wtedy talent się budzi,
Wówczas lubią mnie ludzie,
Majsterkowi nie brak erudycji.

Dr. Jóź-Wiak:
Trochę obraz się mroczy . . .
To wy majster roboczy?
W Pepeesie jesteście czy z nami?
Wyście człek zasadowy,
Anty- i jak- narodowy
I na noże wy też z legionami.

Majster Strońszczak:
Mój Jóź-Wiaku, doktorze,
Co to znaczy: "Na noże"?
Czas się zmienia — i noże tępieją.
Narodowcy też ludzie,
Serce w człeku się budzi,
Gdy los zmienną dziś chadza koleją.
Kiedy znajdzie się w tłumie,
Gdy szaraczków zrozumie,
Kiedy zejdzie z fotela do ludu,
Dzieli troski i poty,
Dzieli plotki, kłopoty
Nad Tamizą spodziewa się cudu.

Dr. Jóź-Wiak:
Mój majstruniu Strońszczaku,
Pełno tutaj jest braków
W tym wywodzie, choć piękne są słowa.
Powiedz lepiej otwarcie,
Bo się nie znam na żarcie
Socjalista, czy partia ludowa?

Majster Strońszczak:
Ja robotnik, człek prosty,
Czarna kawa i "tosty,"
Potem rower, fabryka i praca,
Potem "tea" i piosenka,
Znowu śrubsztak jest w rękach,
Potem rower i do dom powracam.

Dr. Jóź-Wiak:
Oj to wszystko androny,
Czytam twe felietony.
W "Wiadomościach" u G-Rydza drukujesz,
Nowakowski. Sanacja.
I wiadoma atrakcja:
Ty u niego — i rząd krytykujesz.

Majster Strońszczak:
Śrubka, śruba, po śrubie
I już jestem po ślubie.
Opozycja jest lubą małżonką.
Zakazany ten owoc
W takim wieku to pomoc,
Potem . . . teka?
Więc trzeba żyć mrzonką . . .
/śpiewa na nutę legionową/
O mój felietonie rozwijaj się,
O mój felietonie rozwijaj się,
Legiony werbują, Rothesay rozwiązują,
Zaciągnę się.
A jak G-Rydz odpowie: "Nie kocham cię,"

Powiem Zygmuntowi, niech poprze mię.
Tam gdzie on ukłuje,
Tam ja podpiłuję.
Zgodzimy się.
Wywiedli z fotela do fabryki,
Powiedli od biurka i od teki
G-Rydz mnie honoruje, Rojek ucałuje
/z wyrzutem do Jóź-Wiaka/
Ale nie Wy.

/Dr. Jóź-Wiak oburzony wychodzi na tyły gospodarstwa narodowego Szopki. Majster Strońszczak wpada w objęcia wchodzącego wydawcy "Wiadomości Polskich" G-Rydza/

Majster Strońszczak:
Kogo moje oczy widzą?
Bywaj mój legunie luby,
Czy już wierzysz, drogi Grydzu,
W moje panieńskie śluby?

G-Rydz:
Mój majstruniu, ja mam wprawę.
Zygmunt hasła zmieniać lubi,
Ja sam teraz nie wiem nawet
Z kim ja trzymam, z kim się czubię.
Teraz nowa burza wzbiera
Przez Zygmunta. Co za faux pas!
Mianowicie: u premiera
Zasnął snem zdrowego chłopa,
Zbudził się, lecz po niewczasie
Pisząc "Co tam w polityce?"
Zygmunt na teatrze zna się
Lecz na rządzie i krytyce?

Majster Strońszczak:
Z tego widać taki morał:
Trzeba budzić się, gdy pora.

G-Rydz:
Przestań majstrze. Ktoś posłyszy
I do reszty zmniejszą papier,
A ten Zygmunt ciągle pisze . . .

Majster Strońszczak:
A ty się wciąż w głowę drapiesz!

G-Rydz:
Mało cyrku u mnie robi,
To o cyrku powieść spłodził,
W Szkocji ją drukuje sobie
I do konkurencji chodzi.

Majster Strońszczak:
Znasz tę powieść? Nie czytałem.

G-Rydz:
Dojechałem do połowy.
Dzieci mi się pomieszały
I życiorys Zapałowej.

Majster Strońszczak:
To dla wojska doskonałe,
To wyrabia orientację,
Bo przy reorganizacji
Jest potrzebna prawda żywa:
Że i taki cyrk się przetrwa,
Bo niejeden cyrk już bywał.

/X-afery wsadził ucho do szopki. Majster Strońszczak zauważył go, uszczypnął G-Rydza w rękę i szepnął jak hasło, jak ostrzeżenie: "X-afery kochany!"/

G-Rydz
/syknął/:
Anathema!

Majster Strońszczak
/nerwowo/:
Zmień temat, zmień temat!

G-Rydz:
Słuch wydłużył.

Majster:
Kokietuje.

G-Rydz:
Już powtórzył.

Majster:
Już drukuje.

G-Rydz:
Cicho! Słyszy.

Majster:
Szepce: "Drogi"

G-Rydz:
A napisze . . .

Majster:
Żeś ty wrogiem.

G-Rydz:
"Drogi" — powie,

Majster:
A za progiem

G-Rydz:
Żeś ty w zmowie

Majster:
Gwałtu! W nogi!

G-Rydz:
Już za późno.

Majster:
Fu, fu, fu,

G-Rydz:
Już przyleciał

Majster:
Już jest tu.

X-afery:
Kochany majstruniu!
Drogi G-Rydzuniu!

/X-afery wkracza do Szopki pewnie, po raz trzeci, z fasonem "sztabilowego" gościa czyli "customera." Podstawia im nogę przy wyjściu, oni w popłochu uciekają. X-afery gwizdnął na palcach — wchodzi Pasterz/

X-afery:
Gdzież ona?

Pasterz:
Była tu panie. Widziałem,
Gdy do Strattonu wybiegałem.

X-afery:
Mówisz, że to była postać wywrotowa?
Hm, postać kobieca . . .
Nowakowskiego sztuczka pomysłowa.
To mnie podnieca!

Pasterz:
Myślisz, że to był on
Przebrany za kobietę?

X-afery:
Zgadłeś. Niestety.
U niego wszystko możliwe,
Nawet płci zmiana.

Pasterz:
Dziw nad dziwy,
Ani śladu po nim,
Lecz mam coś dla pana.



X-afery:
Gadaj. Napiszę w "Dzienniku Polskim"

Pasterz:
Bywaj mości Twardowski.

/Gdzieś spod sufitu zjeżdża Pan Twardowski, który z ciekawością obserwował do tej pory przebieg akcji w Szopce./

X-afery
/podejrzliwie oglądając Twardowskiego/
Ta charakteryzacja . . .
Licho wie,
Czy to jest drogi Zygmunt,
Czy nie?

Pasterz:
Zleciał z księżyca
Co za degradacja!

X-afery
/ostro do Twardowskiego/:
Panie tylko bez pica
Ten wąs . . . /dotyka/
/złośliwie/
Urodziwy.

Twardowski
/oburzony/:
Nie wytrzymam. Dla szlachcica to zniewaga!

X-afery:
Karabela też niczego,
Ta odwaga?
/dotykając/
Noś prawdziwy

Twardowski
/wyciąga karabelę/:
Do stu czartów, bo posiekam!
Broń się wasan!
/X-afery uskoczył na bok/
Hej, uciekasz?
Weź szabelkę jaką taką
Stań otwarcie do rozprawy.

X-afery
/łagodząc/:
Ja nie widzę w panu braków,
Ja tak tylko dla zabawy.
Teraz wierzę, żeś prawdziwy
Pan Twardowski, wiem: z księżyca,
Szlachcic znany, człowiek żywy.
Ja się nawet tym zachwycam.

Twardowski:
Jak waść szybko zmieniasz tenor,
Gdy stal błyśnie karabeli.

X-afery:
Ach, to były żarty jeno,
Żeby pan się rozweselił.
Lecz ad rem, mości szlachcicu,
Propozycję mam dla pana:
W tym powszechnym intryg blitzu
Brakowało nam . . . Szatana.
A pan znasz wszak jego sztuczki,
Jego chwyty, jego czary.
Gdybyś mógł nam dać nauczkę,
Kapło by funciaków parę.

Twardowski
/zgnębiony/:
Co ja słyszę? Co ja słyszę?

X-afery:
Ten cyrograf pan podpisze . . .
Jeden podpis, tu na dole
Z funciakami worek czeka.

Twardowski
/do siebie/:
Księżyc wolę . . .

X-afery:
Tyś ubogi . . .
/obejmuje go przyjaźnie/
Kochany Twardowski,
Twardowszczak drogi.

/Pan Twardowski usłyszawszy: "Kochany" i "Drogi" świsnął i uciekł na swoją belkę pod sufit/

Pasterz:
Ucieka. Musiał już słyszeć
O "drogim" i "kochanym."

X-afery:
Przez "Wiadomości" wyinstruowany.
Hołota!
Hej pasterzu!
Biegaj do Am-Kota.

/Do Szopki wchodzą z pękami różnych kluczy Maria Kluczewiczowa i Stanisław Mat-Kluczkiewicz. Przystępują do X-aferego, rozbierają go jak zamek i fachowo biorą się do roboty ślusarskiej/

X-afery:
Czego chcecie? Wszak się znamy?

Kluczewiczowa
/ponuro/:
Klucze.
Kluczy dobieramy.

Kluczkiewicz:
Klucz do X-aferego,
Ot i wpadł dobrodziej.

Kluczewiczowa
/wsadza kluczyk od walizki/:
Nie wchodzi.

Kluczkiewicz:
Za mało skomplikowany.

Kluczewiczowa:
Za wyraźny w trzonie.

Kluczkiewicz:
Może ten — ząbkowany,
Od windy w Strattonie.

Kluczewiczowa:
Nie idzie. Za wielki dla niego.
Nie ma mowy. Wchodzi tylko do połowy
Zamku tego . . .

Kluczkiewicz:
I obraca się niemrawo,
Ani w lewo, ani w prawo.
Chowa się w dziurę,
Nie chwyta.

Kluczewiczowa:
Chowa się w dziurę i zgrzyta.
No i co? Pan taki mistrz
Od wyostrzonych broszurek
Od wywiercania dziurek
Od dobierania kluczy.
Pokaż co umiesz, niech się nauczę.

Kluczkiewicz:
Pani o kluczach ślusarską napisałaś pracę,
Więc otwieraj — niech stracę.

Kluczewiczowa
/próbuje/:
To bardzo skomplikowane.

Kluczkiewicz:
Mam pomysł. Lecz wykonać można w miejscu cichym.

Kluczewiczowa:
Otworzyć?

Kluczkiewicz:
Tak.

Kluczewiczowa:
Ale czym?

Kluczkiewicz:
Wytrychem.

/Porywają X-aferego i z pękami kluczy uciekają za kulisy/

/Do Szopki wjeżdża na łąbędziu z "Lohengrina" prezes śpiewaków Zaspeusz Tenorowicz biorąc wysokie C-major/

Zaspeusz
/śpiewa na nutę: "Maki"/:
Hej, artysto, hej niebogo,
Niech se wojsko pędzi drogą,
A ty do Związku, a ty do Związku
Skryj się, skryj i żyj se, żyj!
Prezesura ma swe braki,
Lecz za koncert bylejaki
Lecą, jak maki, funciaki
I w Zaspie jest ruch,
Lecą jak ptaki, jak ptaki,
Więc śpiewam wciąż za dwóch.
Strzeż się tego, co na przedzie
Tam w "Funduszu" z groszem siedzi,
Dyyrektora, dyyrektora strzeż się, strzeż!
I bierz i bierz!
Łez on po mnie nie uroni,
Ale zawsze się obronię:
Zasp będzie wdową, Zasp będzie wdową,
Więc prezes niech trwa.
I znów na nowo, na nowo
Pan prezes to ja!
Chcesz mieć koncert? Ja ci zrobię
Cały program mam przy sobie:
Dam ci Cetnera, potem Cetnera,
A potem ja. Jadwiga gra.
W drugiej części sekret leży,
Że ja będę po Cetnerze



Bóg nas zachowa, Bóg nas zachowa
A w Zaspie jest ruch,
Byle do Lwowa, do Lwowa,
Więc śpiewam wciąż za dwóch.

/Z przyzwyczajenia przypasuje biały fartuch, otwiera w Szopce podręczną aptekę i zaczyna kręcić proszki/

/Do Szopki wchodzi Wycinkalski — wyklejony wycinkami z różnych filmów. Wręcza Zaspeuszowi jakąś karteczkę./

Zaspeusz:
Co to?

Wycinkalski:
Recepta.

Zaspeusz:
Na cóż takiego?

Wycinkalski:
Na film typu Wycinkalskiego.

Zaspeusz
/czyta receptę/:
Weź kilka scenek z "newsu" brytyjskiego,
Zamieszaj z reportażem Czołówki Filmowej,
Wytnij plener z thrillera amerykańskiego
I sześć metrów z przedwojennej produkcji krajowej,
Po tym mocno potrząśnij, "speechu" dodaj zdrowo,
Wytnij z płyty muzyczkę /tania ale długa/
Zrób raz całość na szaro, raz na kolorowo
"Autor" — podpisz się łatwo — jak łatwa zasługa.

Wycinkalski:
Film o Zaspie zrobię panu,
Przerobię "Scottish Mazurka"

Zaspeusz:
To jest synekurka!
Gdzie ją wyszukano?

Wycinkalski
/skromnie/:
Talent, geniusz. Nic innego.
/zagadując/
Panie prezesie. Proszę o cenną myśl
Na temat filmu polskiego.

Zaspeusz:
Mam pewną myśl . . .
Ale . . . znów . . .

Wycinkalski:
Zrealizuję ją dziś.
Mów.

Zaspeusz:
Słowo?

Wycinkalski:
Ręczę głową.

Zaspeusz:
By ratować polski film,
Żeby lepszy nadać styl mu . . .

Wycinkalski:
No, no, no?



Zaspeusz:
Jabym pana wyciął z filmu!

/Wycinkalski mdleje. Zaspeusz wywozi go na łabędziu daleko za Szopkę./

/Wchodzi Pasterz, gasi kaganek w Szopce i oddala się z powrotem w stronę spokojnych owieczek i potulnych baranków. Wtedy zapomniany przez wszystkich Pan Twardowski schodzi spod pułapu. Jest zupełnie przybity przebiegiem rzeczy w Szopce. Ledwie się trzyma na nogach/

Twardowski
/smutny, mówi w ciemnościach sam do siebie/:
Godzina wybiła . . .
Dusza ze mnie uciekła
/Nagle dostał histerii emigracyjnej, krzyczy i tarza się w pyle szopki/
Ja chcę do piekła . . .
Poco ja tu spadłem?
Popełniłem błąd . . .
Wypuśćcie mnie stąd!
Ja chcę do piekła!
/Cisza, jak w scenie pierwszej, nikt mu nie odpowiada/
Szatanie czy słyszysz?
Cyrograf drugi raz podpiszę!

/Z hukiem i gwizdem, zamiast tradycyjnego diabła zjawia się niespodzianie w Szopce, na spadochronie spadający przez górny otwór sceny —Lotnik./

Lotnik:
Panie Twardowski nie czas na histerię,
Baczność!
/Twardowski pręży się, poprawia kołpak/
Do wojska Mości Twardowski!
Do nas Mospanie! Bierz się do latania!
/Twardowski oniemiał/
Bo tam w górze, w stratosferze.
Intryg sieć w proch śmigło zetrze.
Licho wszystkie plotki bierze,
Kiedy puścisz je na wietrze.
Tutaj w szopie ciemno . . . chmury,
Trochę duszne jest powietrze
Wezmę ciebie zatem w górę,
Tam powietrze znacznie lepsze . . .
Kiedy idzie gra o życie
Giną — podstęp, kombinacja . . .

Twardowski:
Mościpanie — jam w zachwycie,
To specjalność ma: awiacja.

Lotnik:
Ochotniku Twardowski!
Szkoda czasu na gadania.

Twardowski:
Na rozkaz!
Ochotnik Twardowski gotów do latania
/całuje karabelę/
Anielskie grają mi trąby
Słodycz w duszy mi się perli . . .

Lotnik:
Bez bujdy!
Szykuj Pan bomby!
Kierunek — Berlin.

/Wylatują razem przez górny otwór szopki. Kukiełki, które chwilowo zachłysnęły się powiewem świeżego powietrza zawstydzone i zmartwione chowają się z powrotem do swojej nory. Z daleka słychać motor oddalającego się bombowca, który jak co nocy startuje prosto w księżyc. Z daleka dobiega ginący w huku motorów wesoły śpiew Twardowskiego/

Lotnik nakazował,
Bym się nie przejmował
Plotkami, plotkami,
A ja sobie muszę
Uradować duszę
Bombami, bombami . . .

KONIEC

ZESTAWIENIE TREŚCI ZA ROK 1943

* W tym połączeniu, które zachowujemy podobnie, jak w latach poprzednich — jest dowolność podyktowana względami praktycznymi. Usprawiedliwia ją rozkaz Naczelnego Wodza traktujący służbę na statkach handlowych w czasie wojny jako służbę żołnierską i liniową.

Redaktor:
TYMON TERLECKI

Dla Polaków w Rosji: £10,490

Do Redakcji "Polski Walczącej,"
Przesyłam "Money Order" na £9.10.6 /słownie: dziewięć funtów, dziesięć szylingów i sześć pensów/, zebrane przez dzieci kompletów szkoły powszechnej w Edynburgu, Kirkcaldy i Blackpool oraz kursu korespondencyjnego na "Fundusz Ratowania Dzieci w Polsce."
Z poważaniem

Kierowniczka Szkoły Powsz.
i Kursu Korespondencyjnego
A. Łąską

* * *

Redakcja "Walczącej,"
Dzieci polskie z Kirkcaldy — zamiast prezentu gwiazdkowego dla kochanej Pani Nauczycielki Olgi Biernackiej, posyłają zebrane sh.10 dla dzieci polskich w Rosji.

Hania K., Janusz K., Krysia G., Andrzej L., Jurek Z., i Ewą S.

* * *

Drogiemu naszemu Kierownikowi Wiktorowi Budzyńskiemu życzymy w dniu Imienin wszystkiego dobrego przekazując równocześnie 30 sh. na pomoc dla Polaków w Rosji.

Koleżanki i Koledzy
z "Lwowskiej Fali"

Szanowny Panie Redaktorze,
Pozwałam sobie przesłać 15 szyl. na dzieci polskie w Rosji, 15 szyl. na "paczkę od serca."
Z poważaniem

M.P.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £12.5.6 /słownie: dwanaście funtów, pięć szylingów i sześć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,490,18.3 /słownie: dziesięć tysięcy czterysta dziewięćdziesiąt funtów, osiemnaście szylingów i trzy pensy/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5½ dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milreisów brazylijskich.

Osoby posiadające informacje o kpt. ZYGMUNCIE STOPNICKIM z K.O.P., JAROSŁAWIE POPŁAWSKIM i IGNACYM WIERCIŃSKIM z Wołkowyskiego powiatu proszone są o przesłanie wiadomości do M. Paterson, 8, Southerton Rd., Kirkcaldy.

Dla jeńców "paczki od serca": £1,454

Zamiast życzeń świątecznych i noworocznych przyjaciołom, znajomym i bliskim — na "paczki od serca" dla jeńców-żołnierzy naszych w Niemczech 30 szylingów przesyłam.

Ks. Warakomski

* * *

Zamiast życzeń świątecznych i noworocznych dla rodziny p. Z. Brochackiej i znajomych zasyłam postal order na sumę 20 szylingów na paczki dla jeńców polskich w Niemczech.

kpt. obs. R.S.Ch.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,
Zamiast życzeń świątecznych przesyłam P.O. na sh.10, którą to kwotę przeznaczam na korzyść jeńców polskich.

Lucjan Olczyk

* * *

Na "paczkę od serca" sh.9.3.

N.N.

W załączeniu przesyłam £9.9.7 /słownie dziewięć funtów, dziewięć szylingów i siedem pensów/ w przekazach pocztowych, zebrane wśród żołnierzy Polskiej Eskadry Balonowej i proszę o przekazanie powyższej kwoty do Polskiego Czerwonego Krzyża z przeznaczeniem na paczki żywnościowe dla jeńców polskich w Niemczech.

Z góry uprzejmie dziękuję za łaskawe załatwienie mej prośby.

Dowódca Eskadry
Kpt. obs. bal. M.Pt.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,
w załączeniu przesyłam na paczki dla jeńców kwotę £2.10.0 /£ dwa, sh. dziesięć/ otrzymaną przez szeregowych Eskadry za prace wykonane w godzinach pozasłużbowych.

Pozwalam sobie przesłać Panu Redaktorowi oraz całemu zespołowi redakcyjnemu serdeczne życzenia świąteczne i noworoczne.

Stanisław Kucharski

Zamiast życzeń świątecznych i noworocznych — £1 na "paczki od serca" dla jeńców polskich lotników — składają.

Ewa i Andrzej Miszewscy

* * *

Zgodnie z wnioskiem Komitetu Zabawowego plutonu przesyłam załączony "Money Order" TD 78110 na sumę £17 sh.8 d.6 /słownie: funtów siedemnaście, szylingów osiem i pensów sześć/ t.j. kwoty uzyskanej z zabawy tanecznej, urządzonej przez żołnierzy plutonu w dniu 19.XI.1943 r. a przeznaczonej na zakup papierosów dla jeńców Polaków w Niemczech.

Dowódca Plutonu
chor. Sz.

* * *

Z okazji osobistej przesyłam sumę £7 z przeznaczeniem na pomoc jeńcom polskim w Niemczech.

J. i M.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £41.12.4 /słownie: czterdzieści jeden funtów, dwanaście szylingów i cztery pensy/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Jeńcom Wojennym — Stowarzyszenia Służby Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1,454.5.9 /słownie tysiąc czterysta pięćdziesiąt cztery funty, pięć szylingów i dziewięć pensów/ i 50 milrejsów brazylijskich.

Tekst: RYSZARD POBÓG

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ



A na Święta Walenty
Wyciął w lesie choinkę,

Pod choinką, w baraku
Zaczął śpiewać drobinkę:

Popłynęła kolęda
Głośna, ludzka i szczera,

Że aż święty Piotr spytał:
Kto się tam tak wydziera?

Mikołaja wysłano
Aby zbadał te sprawy —

Żołnierz Pompka—brzmiał raport—
Tęskni dziś do Warszawy . . .



Święty Piotr się zakrzątnął,
Księgi Losów przerzucił,

Pompka—stwierdził—już wkrótce
Do Warszawy powróci!

Oczywiście Walenty
Nie mógł wiedzieć nic o tym,

Choć mrugały do niego
Gwiazdki srebrne i złote.

Łzy Walusia zginęły
W białym śniegu, jak w gąbce—

Łzy goryczy, że wszyscy
Chcą zapomnieć o Pompce . . .

Następny numer "Polski Walczącej" ukaże się 6 stycznia 1944 r.

SPIS RZECZY

POSZUKIWANIE
Wszystkie osoby mogące dać jakąkolwiek wiadomość o **ANTONIM i ANIELI LĘCZNAROWICZ** oraz o ich dwu synach—**ZBIGNIEWIE i JERZYM**, proszeni są o nadsyłanie ich do Adm. P.W. pod kpt. U.K. Pisma na Śr. Wschodzie i w Indiach proszone są o przedruk.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.